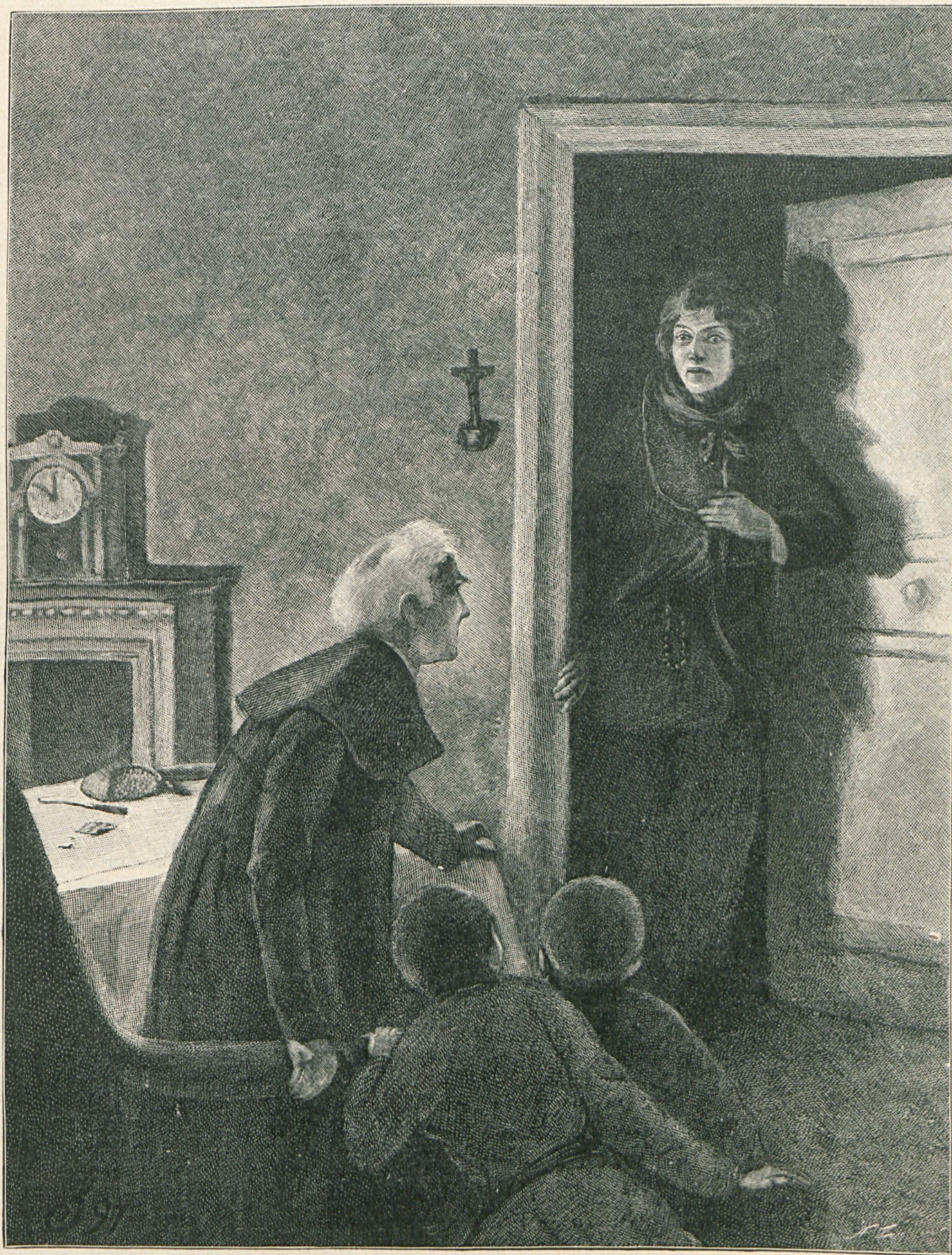


TYGODNIK ILLUSTROWANY



PUSTELNIK

Z konkursu Tygodnika ilustrowanego

STEFAN KINDERFREUND

Anarchia w literaturze.

Anobec zjawisk licznych, wielorakich, niejednorodnych i sprzecznych, dążymy zawsze do wynalezienia formuły, określenia, któreby całość w jednym streściło wyrazie. Takim wyrazem na dziś jest *anarchia*. Jeżeli uznamy za prawdę słowa Johna Stuarta Milla, że nie masz definicji rzeczy, a są tylko definicje nazw—to może nigdzie ta prawda nie okaże się tak pewną, jak co do tak zw. anarchii ducha. Ścisłe biorąc, nie a nie ona nie objaśnia rzeczy, t. j. stanu dzisiejszej literatury, i dyalektycznie tylko wyraża pewne stanowisko nasze wobec tego niezliczonego roju nowych ludzi.

Wistocie cóż to znaczy anarchia? Czy ma to świadczyć, że się pisarze nie poustawiali w szeregi, noszące różne mundury? czy może tych mundurów za dużo? a może po prostu mundury znikły, i każdy się nosi po cywilnemu, tak, że ich trudno podzielić na kategorie?

Zdaje mi się, że anarchia w literaturze znaczy po prostu tyle, iż krytyka nie jest w stanie dobrze się zorientować w niesłychanie bujnym rozkwicie piśmiennictwa za dni dzisiejszych, że dusza ludzka zawiera w sobie więcej niespodzianek, niż się filozofom śniło, że z drugiej strony umysły krytyczne dążą bezwarunkowo do zorientowania się w chaosie i do ujęcia w kluby niespodzianek coraz to nowych, a nie zawsze miłych i niezawsze naturze ludzkiej przynoszących zaszczyt.

Czem my jesteśmy?

Klasycy? romantycy? naturaliści? symboliści? weryści? dekadenci? mistycy?... Jesteśmy tem wszystkiem—i czemś jeszcze—i niczem!... Oto położenie szczególne i wyjątkowe!...

To położenie przeraża wielu, a między innemi p. Recolina, autora książki pod tytułem „L'anarchie littéraire,” o której kilka słów mam zamiar powiedzieć.

Wszystkiego można dziś dostać na rynku literackim—mówi autor.

Chcesz naturalizmu? jest; chcesz idealizmu, erotyzmu, romantyzmu? jest; chcesz romansowości à la Georges Sand, ideologii, powieści uczciwych, neokatolicyzmu, ateizmu—wszystko znajdziesz.

Oto wolteryanizm, oto sceptycyzm, dyletantyzm; oto parnas, symbolizm, dekadentyzm, naturyzm; oto ironizm, który drwi ze wszystkiego; oto najazd obcy: Tolstoj, Ibsen, d'Annunzio, Fogazzaro, Nietzsche... Oto wreszcie Cyrano de Bergerac.

Więc cóż?—pytamy. Dużo jest tego—chaos, rozgardyas, kłótnia, sprzeczności: połapać się nie można. Nie też dziwnego, że się i autor „Anarchii” nie mógł połapać; zestawiał on byle jak i byle kogo, wybrał pewne kierunki, które mu się wydawały najgodniejszymi uwagi, i powtracał nawet tego i owego do niewłaściwej szuflady.

Taką jest zewnętrzna strona książka p. Recolina; po za tem mamy tu szereg studyów bardzo sumiennych o rozmaitych pisa-

rzach francuskich doby dzisiejszej, z pewną tendencją dość jednolitą w kierunku umiarkowanego idealizmu, w którym widać zwrotki religijności, ale zarazem i silne zaufanie do nauki, zaufanie, które wielu nowych autorów potępia (np. de Wyzewa).

Książkę swą dzieli Recolin na trzy części; 1) Kierunki. 2) Prądy. 3) Mody. Kierunki wyobrażają różni krytycy: Brunetière (ewolucjonizm), Lemaître (impresjonizm); René Doumic jest to krytyk moralista; Deschamps w tytule swoich sprawozdań literackich (w „Temps”) „La vie et les livres”—zaznaczył, że książki nie uważa za ostateczny kres bytu i że pragnie widzieć jej związek z życiem.

Prądy dają nam szereg postaci, których pod pewną etykietą mieści Recolin. Szereg pierwszy to *pesymiści* (Edouard Rod, Zola); *ironiści*, t. j. tacy, którzy umieją z czarnego robić białe i z białego czarne (Renan, Anatole France, Maurice Barrès); dalej idealiści i mistycy.

Łatwo dostrzedz, jak jest sztuczne połączenie Renana, France'a i Barrèsa, każdy z nich bowiem wyobraża co innego.

Lepiej udał się autorowi szereg idealistów, z którymi, jak sądzę, sympatyzuje on najbardziej. Jest to grono ludzi młodych, związanych w towarzystwo „Życie i Sztuka,” i których główną troską jest wprowadzanie ideału do życia. Są to Maurice Pujo, twórca t. zw. „krytyki powszechnej,” autor „Panowania łaski” i „Przesilenia moralnego;” H. Berenger, który walczy z intelektualizmem, jako źródłem niezdolności do działania; G. Trarieux, poeta, śpiewak miłości idealnej; Victor Charbounet, duch niespokojny, marzyciel religijny, który był jakiś czas księdzem i zrzucił sutannę. Osobno w tym rozdziale mówi R. o najnowszej książce Sully Prudhomme'a: „Que sais-je?”

Do mistyków zalicza autor Maeterlinka i Wyzewę; jest to oczywiście zestawienie dowolne.

Czy te cztery grupy choć w najmniejszym stopniu wyczerpują twórczość dzisiejszą? Może zresztą autor zamierza dalsze serje książki wypuścić: należy się spodziewać; znać w nim duszę trwożną o jutro człowieka i żadną prawdy moralnej.

Tym nastrojem tłómaczy on powodzenie Tolstoja, Ibsena, Fogazzara—jako właśnie umysłów przenikniętych zadaniami etycznymi. Umysły te zresztą tak są obce duchowi francuskiemu, że nie waha się on podciągnąć ich powodzenia pod wyraz—mody.

Książka Recolina, jak to często bywa u Francuzów, jest po prostu zbiorem artykułów, którym autor nadał mniej więcej dowcipny tytuł i również dowcipnie ukłasyfikował rozdziały; z tego powodu nie dotknął on najpoważniejszego może punktu całej sprawy: przeciwieństwa jednostki i masy, odwiecznej walki „człowieka z miastem;” walki, która się budzi w każdym niemal duchu wrażliwym, pod wpływem chwilowych starć z otoczeniem.

Ogólniej zajął się tą sprawą prof. Henryk Struve w rozprawce p. t. *Anarchizm ducha u obcych i u nas*. Jemu nietylko idzie o rozmaitość umundurowania dzisiejszych pisarzy, ile o ich żądzę wyodrębnienia, o ich niespołeczny indywidualizm.

Oczywiście głównym winowajcą wszystkich wybujałości indywidualizmu jest Fr. Nietzsche, prorok okrucieństwa i egoizmu. Ile razy odczytuję pisma tego niezwykłego artysty, przypominają mi się słowa pewnego obserwatora duszy człowieczej:

„Ludzie słabego charakteru, — powiada on—rozmawiając sami z sobą, lubią używać wyrazów energicznych.”

Takim człowiekiem słabym, miękkim i dobrym jest Fr. Nietzsche, który jest zły na siebie za swoją słabość, miękkość i dobroć—i dlatego staje się piewą i apostołem siły, surowości i zła, apostołem energii, woli, okrucieństwa.

Ale jest w nim tyle pierwiastków szlachetnych, kryształowych, słonecznych, że wszystkie jego błędy nikną wobec tego światła, i dlatego przekleństwa, na głowę jego rzucane, zdają mi się straconemi strzałami.

Wyraża on może najjaskrawiej odwieczną walką jednostki z gromadą, ale jest to historia wcale nie nowa, historia, która istniała zawsze w czasach historycznych, a której nie było w okresie przedhistorycznym—i która zniknie zapewne w okresie po-historycznym.

Indywidualizm, jakkolwiek sam przez się jest zjawiskiem normalnem i przyrodzonym, nie wyraża bynajmniej dążenia większości dzisiejszych społeczeństw; jest to owszem dążenie mniejszości.

Większość, przeciwnie, dąży ku jak największemu *upodobnieniu, ujednolaceniu* ludzi i narodów, ku niwelacji powszechnej, której zasadę najkonsekwentniej przeprowadził G. Tarde.

Tarde pod nazwą naśladownictwa rozumie to samo, co Nietzsche zowie *progressus in simile*; dla Tarde'a warunkiem odkrycia, (które stanowi materiał naśladownictwa) jest chwilowe wyrwanie się z pod hipnotyzmu społecznego, *niespołeczność* geniusza, wynalazcy, proroka (pobył na pustyni); to samo Nietzsche zowie życiem niehistorycznem i niemoralnem. W tym pobycie na puszczy geniusz stwarza siebie—i to jest cała treść nauki Nietzschego.

Ponieważ życie współczesne, fabryczne, administracyjne, militarne, utrudnia ludziom wytworzenie własnej jaźni, nie tedy dziwnego, że owa żądza brzmi jakimś namiętnym, strasznym, dzikim niemal krzykiem rozbitków, którzy toną niemal pod nieuchronną falą bezlitościwego morza upodobnienia.

W istocie bowiem literatura i sztuka, jak całe nasze współczesne życie społeczne, ma dążenie jedno: bezimiennność. Prędzej czy później literatura stanie się bezimienną, jak bezimienne są krzemienne strzały i toporki przedpotopowe. Jeszcze dziś w nas żyje „dzika żądza pośmiertnego żalu,” *perpetuandi nominis*

desiderium, ale prędzej czy później zniknie to, co zwiemy *Slawą*, i świat cały składać się będzie z istot bez twarzy i bez nazwiska.

Może wówczas, kosztem zatrąty świadomości jednostek, rozwinię się świadomość tego olbrzymiego zwierzęcia, które zwiemy społeczeństwem; może ze śmierci dusz pojedynczych narodzi się *dusza społeczna*, ale do-

póki to nie nastanie, zupełnie uprawnioną jest walka tych, którzy nie chcą utracić twarzy i imienia!

Dlatego owo piętnowanie indywidualizmu jako zbrodni wydaje się mi niesprawiedliwym; słyszymy tu bolesny okrzyk tonących, których jutro już nie będzie.

Istnieje w niektórych krajach przesąd,

że tonących ratować nie należy, gdyż Wodnik za to mścić się będzie; ci, którzy wojnę toczą z indywidualizmem, zdają mi się tak właśnie, jakby nie tylko ratować nie chcieli rozbitków, ale owszem spychali ich jeszcze głębiej na ofiarę bogu fal! Wodnikiem jest społeczność.

A. LANGE.

Z tygodnia na tydzień.

W lipcowe rano.

W lipcowe rano, kiedy świat omdlewa
W słonecznym żarze złocistych promieni,
Wszystko drży w blaskach i wszystko się mieni:
Wrzasy i gaje i ludzie i drzewa...

Wśród rajskich woni, wśród drzewa zieleni
Dusza się kąpie, jak na falach mewa,
Kąpie się w cichych bezmiarów rozstrzeni
I w niebo jakąś dziękczynną pieśń śpiewa...

W lipcowe rano, w skwarne letnie rano
Schodzi z błękitów z złocistych roztoczy
Najświętsza Panna drogą w kwiat usłaną...

Słodkim uśmiechem jaśnieją jej oczy,
A ona płynie ponad błon wiosnianą
I błogosławi ludziom z nad przezroczy.

E. Bieder.



Zjazd lekarzy i przyrodników w Krakowie.

W dn. 21 otwarto obrady zjazdu lekarzy i przyrodników polskich w Krakowie.

W przyszłym numerze „Tygodnika“ damy obszerniejsze sprawozdanie z posiedzeń zjazdu,

Prócz tej zasadniczej przyczyny istnieją, zdaniem autora, i inne, związane z nią genetycznie, lub też od niej niezależne. A więc: olbrzymi rozrost spekulacji, opartej na kredycie, w połączeniu z „grynderstwem“ akcyjnym, reforma monetarna, wpływ rynków zagranicznych, dokonane uprzednio konwersje, zbyt szybkie tempo rozwoju ekonomicznego etc.

Część z tych przeciwności zdołano zażegnać, ale to nie wstrzymało przesilenia, które „obnażyło“ takie rany organizmu gospodarczego, że niemożna ich wygoić zwykłymi środkami leków handlowych.

Tutaj czas musi zrobić swoje. Każde przesilenie ekonomiczne jest rodzajem burzy, oczyszczającej atmosferę z niezdrowych miazmatów: to, co jest zdrowego w życiu ekonomicznym, wytrzyma kryzys; to, co stało na słabym fundamencie—upadnie i zginie. Jak długo na to czekać wypadnie—to kwestya, zwłaszcza, że powikłania polityczne, których sfera ogarnia całą kulę ziemską, nie należą bynajmniej do czynników dodatnich i wywrą niewątpliwie przygnębiający wpływ na

najpierw depeszę, odmawiającą w sposób brutalny udziału w uroczystości, a dopiero później postarał się o naprawienie błędu, wysyłając telegram urzędowy, którego tekst podaliśmy za „Prawdą“ w jednym z ostatnich numerów „Tygodnika.“ y



Ogórki.

Warszawa się rozjechała! Nikogo niema w mieście.

Kto się chce przekonać, czy to prawda, niech idzie w dzień świąteczny po południu w Aleje Ujazdowskie. Spotka tam tłumy, dążące do ogrodu Botanicznego i Łazienek, i to tak liczne, że przecisnąć się trudno. Tramwaje przepełnione. Na kolejkach wąskotorowych ruch niezwykły. Każdy dąży, aby zaczerpnąć choć trochę świeżego powietrza, bo wśród wąskich ulic (a Warszawa, niestety, ma te ulice nad miarę wąskie) duszno i ciasno. Instynktownie szuka mieszkaniac mieski trochę zieloności i przestrzeni.

Pełno w Szwajcarskiej dolinie, i na Dynasach pełno, gdzie krasnostawska orkiestra wygrywa ochocze mazury i oberki, a nawet poloneza z „Hrabiny“, oklaskiwanego z zapalem przez publiczność.

Część tej publiczności zajęła krzesła bliżej estrady i słucha uważnie muzyki, reszta przyszła specjalnie na gawędę, kolację i piwko. Więc przedewszystkiem zalatuje niemiły przysmak kuchenny, kręci się służba, chwytając ze stołów noże, widelce i serwety, bo naczynia brakuje, a goście rozprawiają o Chinach i świeżej katastrofie na kolei Wiedeńskiej.

I wszędzie tak, i zawsze tak. Czy to przy dźwiękach orkiestry, czy w teatrzykach ogródkowych, zawsze na pierwszym planie kolacyjka, piwko.

A skoro mrok zapadnie, i błysną światła latarni, na ławkach w ogrodach i alejach flirt, mniej subtelne, ale ściślej określone przybiera formy.

Pełne dorożki przewożą również grupy flirtujące. Kantorowicze za przykładem pozłacanej młodzieży udają panów, „używając na gumach.“ Obdarte wiusy urządzają wyścigi z dorożkami, trzymając nadwiedle bukiety w ręku.

I gdzież tutaj ogórki?

Raczej: piwo, flirt i orkiestra...

A ogórków należy szukać na grzędach, na talerzach i w głowach. Rozrywka i wypoczynek schodzą raczej do sfery zabicia czasu, albo do hułatyki, nie z zabawą nie mającej wspólnego...

Swoboda, wesołość, śmiech szczerzy!

O tem ludzie dawno już zapomnieli! d



Pomoc lekarska na usi.

Podniesiony przed kilku laty w „Głosie“ projekt zjazdu lekarzy prowincjonalnych, celem porozumienia się w sprawie służby zdrowia gminnej, obecnie znów w innej formie wznowiono w łamach prasy.



Prof. Dr. Kazimierz Kostanecki,
przewodniczący Komitetu gospodarczego.



Prof. Dr. August Witkowski,
drugi przewod. Komitetu gospodarczego.



Prof. Dr. Stanisław Ciechanowski,
sekretarz Komitetu.

obecnie pomieszczamy portrety przewodniczących komitetu, pp.: prof. dr. Kazimierza Kostaneckiego, prof. dr. Augusta Witkowskiego, oraz sekretarza komitetu, dr. Stanisława Ciechanowskiego.



Przesilenie ekonomiczne.

„Kurier Warszawski“ i „Ekonomista“ pomieściły artykuły pióra p. S. A. Kempnera o przyczynach i skutkach panującego obecnie przesilenia pieniężnego. Autor uważa za główną jego przyczynę nadmierny wzrost przedsiębiorstw, które pochłonęły gotówkę, więżąc ją w urządzeniach przemysłowych i w zasobach warsztatów przedsiębiorczych.

życie organizmu ekonomicznego, opóźniając jego rekonwalescencję. y



Dwulicowość niemiecka.

Jak się pokazuje, sprawa depeszy uniwersytetu lipskiego do Akademii Jagiellońskiej przeszła dwie fazy.

Z początku wszystkie uniwersytety niemieckie miały zamiar przejść nad zaproszeniem akademii „do porządku dziennego.“ Takie było polecenie z góry. Rząd austriacki oświadczył w drodze dyplomatycznej, że uważałby to za obrazę; wskutek tego rozporządzenie cofnięto, uniwersytet lipski jednak okazał zbyt gorliwość i wysłał

Mianowicie proponują, aby na posiedzenia wydziału ludowego Tow. higienicznego zapraszać lekarzy prowincjonalnych dla bliższego rozpatrzenia i porozumienia się w kwestyi pomocy lekarskiej dla ludności wiejskiej.

W tej sprawie porozumiewały się Towarzystwa lekarskie prowincjonalne. Wygotowano nawet szereg projektów, które tak w specjalnych pismach lekarskich, jak i nielekarskich, poddane były rozbirowi szczegółowemu i krytyce. Jest dosyć zebranego materiału statystycznego, urobił się nawet pewien pogląd, na znajomości stosunków miejscowych oparty, jakby należało tak ważne zadanie przeprowadzić.

Byłoby bardzo pożyteczne, aby dojść w tej mierze do pewnych postulatów, i jeśli okazałoby się możebnem, projekt w czyn wprowadzić. Ze sprawą urządzenia służby zdrowia gminnej łączy się ściśle wiele innych zadań, nad którymi obradowały już różne wydziały Towarzystwa higienicznego.

Wszelkie zarządzenia higieniczne, kwestya mieszkań, utrzymania czystości ciała, pożywienie i t. p. daleko łatwiej i skuteczniej mogłyby być przeprowadzone, gdyby istniała porządnie zorganizowana służba zdrowia gminna. Z nią również idzie w parze pomoc dla rodzących, o której tyle dyskutowano na wydziale ludowym.

Chodzi jednak o to, aby rzecz nie obracała się w błędnem kole teoretycznych dowodzeń, żeby nie była tylko przedmiotem dyskusyi, a miała praktyczne wyniki.

Jakkolwiek inicjatywa posiada doniosłe znaczenie i nigdy nie jest bezowocną, wadą projektodawców jest to, że owych projektów zjawia się za wiele naraz.

W takim „embarras de richesse“ niewiadomo do czego się wziąć naprzód i co w czyn wprowadzić.

A propozycje, nieraz najlepsze, mają często tę wadę, że się w praktyce nie dają zastosować, co zresztą ani od projektujących, ani dyskutujących nie zależy.

Trudno zwracać uwagę na możliwość wykonania, inaczej, jak to mówią: „Szkoda czasu i atlasu.“

Projekt najlepszy w zasadzie, jak wiele zresztą spraw w powszednim życiu, zmienia się do niepoznania w zastosowaniu swoim i sprawia skutek wprost przeciwny zamysłom. *g*

✽

Wyższa szkoła żeńska.

Panuje ogólne przekonanie, że istniejąca w Warszawie przy ulicy Pięknej pensya hr. C. Plater-Zyberkówny jest zakładem naukowym rękodzielniczym dla dzieci rodziców niezamożnych. Tymczasem jest to zakład naukowy żeński wedle programu Maryjskiego, posiadający sześć klas i klasę wstępną.

Program Maryjski obowiązuje jeden tylko zakład w kraju naszym, a mianowicie Instytut Maryjski przy ulicy Wiejskiej. Wyższość tego programu jest znana dostatecznie, a założycielka szkoły dołożyła wielu starań, aby ten program uzyskać.

Celem szkoły nie jest wychowanie odpowiednio wykwalifikowanych rękodzielniczek, lecz kobiet gruntownie wykształconych, a jednocześnie zdrowych fizycznie i urobionych moralnie. Zwrócona jest baczna uwaga na naukę obcych języków—internat posiada nauczycielki Francuzki i Niemki, dla ciągłej wprawy uczenia. Po ukończeniu zakładu naukowego, lub też niezawisłe od tego ukończenia, młode panny po ukończeniu lat 16-stu mogą kształcić się w innych oddziałach zakładu, a mianowicie: w szkole robót, w szkole freblowskiej, w szkole rysunkowej, oraz gospodarczej w Chyliczkach.

Zakład przy ul. Pięknej może pomieścić 60 pensjonarek, a 200 przychodnich uczenie we wszystkich klasach i oddziałach. W ogródku fre-

blowskim pomieści się 50 dzieci. Każda klasa i oddział posiadają specjalne przewodniczki, dla lepszej opieki i nadzoru.

Wiek przyjmowanych do zakładu uczenie jest od lat 8 u do 9-u. Do działów specjalnych po ukończeniu lat 16-u. Do ogródka freblowskiego przyjmują się dzieci od lat czterech skończonych do 7-miu. Zamieniwszy pierwotny zakład naukowo-rękodzielniczy dla dzieci rodziców niezamożnych na zakład wyższy naukowy żeński, założycielka nie porzuciła pierwotnej myśli i pragnie wznowić tę szkołę, ale już jako nowy odrębny zakład. Dążeniem szkoły p. Plater jest uwzględnienie praktycznych zadań życia i dbałość o zdrowie i rozwój równomierny sił fizycznych i umysłowych. Najnowsze kierunki pedagogiczne nie inny cel także w wychowaniu zakreślają. *d*

✽

Setna rocznica urodzin Wagi.

D. 25 b. m. minęło lat sto od chwili przyścia na świat męża, który na długie lata rozświetlił swe imię w dziedzinie nauk przyrodniczych. Mężem tym był Jakób Waga, urodzony we



Jakób Waga.

wsi dziedzicznej Wagów, Grabowie, gubernii Łomżyńskiej, d. 25 lipca 1800 r. Nauki początkowe pobierał u kks. Pijarów w Szczuczynie, a szkoły wojewódzkie i ówczesny Uniwersytet Aleksandryjski w Warszawie. Będąc jeszcze na kursach, Waga zdobył medal złoty za rozprawę „Rerum natura nunquam magis, quam in minimis, tota.“

Po skończeniu uniwersytetu młody przyrodnik został nauczycielem szkół kks. Pijarów w Warszawie, a następnie kolejno wykładał w szkołach wojewódzkich w Radomiu i Łomży. W ostatnim mieście przebywał najdłużej i tu też został inspektorem.

Oprócz pracy pedagogicznej, Waga z zamiłowaniem przez całe swe oddawał się studjom w dziedzinie nauk przyrodniczych. Ze szczególnem wszakże zamiłowaniem studiował botanikę, odbywając w tym celu długie podróże piesze po gubernii Augustowskiej, Lubelskiej, Radomskiej i Płockiej. Owocem tych studyów jest znakomite i jedyne w swoim rodzaju 2-tomowe dzieło Wagi „Flora polska,“ w którem szczegółowo opisał rośliny jawnokwiatowe w Królestwie Polskiem. Dziełem tem Waga wślawił naukę polską za granicą. Nadto spolszczył dzieło znanego przyrodnika francuskiego Ludwika Figuier'a „Historya roślin“ w 2 tomach i Flammarion'a „O Koperniku“ i „O aerolitach.“

Zmarł Waga d. 23 lutego 1872 r. w Łomży i pochowany na tamtejszym cmentarzu. Mieszkańcy Łomży wystawili uczonemu polskiemu skromny nagrobek, który do dziś dnia istnieje.

Z okazji setnej rocznicy urodzin Wagi uważaliśmy za właściwe przypomnieć potomności jego zasługi dla nauki rodzimej. *lb*

✽

Gry i zabawy dla dzieci.

P. Marya Weryho w odczycie swoim na wydziale wychowawczym Towarzystwa higienicznego zwracała uwagę na doniosłe znaczenie pedagogiczne gier i zabaw dziecięcych. W czterech okresach dzieciństwa, poczynając od lat najwcześniejszych do roku 17-go, baczny obserwator może spostrzegać, jak indywidualny charakter zabawy dziecięcej kolejną przechodzi na zbiorowy—społeczny. Wychowawca winien brać udział w zabawach dziatwy. Tym sposobem najłatwiej poznać naturę, temperament i charakter wychowanków, bo wszystkie wady i zalety dają się łatwo wśród gier i zabaw spostrzegać. Prelegentka wskazywała korzyści, jakie osiąga dziatwa ze wspólnych zabaw. Kształcą one zmysł praktyczny, dają większą obrotność i zaradność w przyszłym życiu.

W dyskusyi radzono nad sposobami rozpowszechniania gier i zabaw dziecięcych. Zwrócono uwagę, żeby i na prowincyi zakładano ogródki dziecięce. Przydałby się dobry podręcznik, a także rodzaj kursów, gdzieby przygotowywali się kierownicy i kierowniczkę gier i zabaw dziecięcych.

Należy zanotować, że sprawa ogródków dziecięcych w Warszawie będzie załatwiona przychylnie, i odpowiednie dopełniania artykułów ustawy Towarzystwa higienicznego już na drodze urzędowej pozyskano.

Zabawy dziecięce, rozpoczęte w roku zeszłym w Warszawie, niezadługo przyjdą do skutku z pożytkiem dla zdrowia dziatwy. *d*

✽

Kwaśne mleko w lesie.

O przyjemnościach podmiejskiego pobytu tak opowiadał nam jeden z wiernych przyjaciół:

„Niech licha porwie kawalerski stan!... Chcąc choć trochę wypocząć, postanowiliśmy wynająć letnie mieszkanie, aby codziennie po zajęciach biurowych—marsz na trawę! Ponieważ w latach zeszłych mieliśmy stancję na poddaszu pod blachą, gdzie piekliśmy się niby na patelni, a w dodatku mając okno nad kuchnią, cały dzień oddychaliśmy cebulą (kuchnia należała do kapitalisty, pobierającego 6% na miesiąc), przeto postanowiliśmy spróbować szczęścia około Rembertowa.

Stancjka jak stancjka, wikt jak wikt, bo wszystko sprowadzają z Warszawy. Ale za to las... można używać na powietrzu!

Wybraliśmy się przeto na dalszy spacer do Leśniczówki na kwaśne mleko.

Mleko... no ciepłe, i czuć go było powązką, czy źle wypłokanym garnkiem... Ale spożyliśmy i w słodkim „dolce far niente“ doczekaliśmy późnego wieczoru...

— Którędy tu wracać?—zapytujemy gospodarza.

— Wracać? Przez las bym nie radził, bo tam draby. Niedawno zetknął się z nimi jeden letnik, to mu kieszenie wywinęły na wywrót, zabrali zegarek i tak ścisnęły grdykę, że do tej pory łyka tylko rzadkie, bo twardszego ani węz. Bezpieczniej szosą, bo droga szeroka i otwarta. Choć i tam może się co paskudnego przytrafić. Mnie ta nie rusza, bo wiedzą, że zaraz palnę w łeb... ale panowie...

Miałem w kieszeni kilka rubli, więc mogłem ryzykować. Ale mój towarzysz posiadał premiówkę i nieco grosza, wziętego jako zaliczkę. Oczy mu przeto ze strachu na wierzch wylazły.

Poszliśmy ową szosą... Przez krzaki towarzysz mój dzwonił zębami, jak w febrze. Ale skoro wyszliśmy na pole otwarte, pomknął ku domowi, niby ścigany jelen. Nie mogłem mu nadać... Po takiej próbie wydaliśmy się najwyżej o kilkaset kroków od domu...

— Oto są rozkosze!—biadał, wdychając.

— Życie jest krótkie i niepewne—dodałem mu na pociechę. *g*



OD NIEGO

S. GLÜCKLICH

EGZOTYZM, REALIZM I LEGENDA.

Z POWODU „PORACHUNKÓW“ p. A. SYGIETYŃSKIEGO.

3.

Szeroki pogląd Chmielowskiego harmonizuje najzupełniej z moimi zapatrywaniami na egzotyzm i na swobodę twórczości artystycznej, ale jak p. Sygietyński pogodzi zaściankowe teorie, głoszone w „Porachunkach“, z własną twórczością artystyczną i z sądem o niej swego życzliwego, sumiennego i światłego biografa—nie wiem. Słusznie mówi Pismo Święte: „Widzisz źdźbło w oku bliźniego twego, a w swoim łelki nie widzisz...“

* * *

Ale wróćmy do zwierząt.

Pan Sygietyński jest zdania, że zamięłowanie zwierząt i wogóle rzeczy egzotycznych dowodzi „dzieciństwa umysłowego“ i „braku wyrobienia artystycznego?“ Czyż tak? Pan Sygietyński cytuje z tryumfem Goncourta, który powiedział, że „ludy nie smakują w prostocie i prawdzie, lecz lubią legendę i szarlataneryę.“

Tak, to święta prawda! Ludy lubią legendę i szarlataneryę, jeżeli pod szarlataneryą p. Sygietyński rozumie egzotyzm, romantyzm, fantastyczność, bajeczność i t. p.

No, więc i cóż?

Czyż to nie są kategorie potrzeb estetycznych, równie legalnych i silnych, jak potrzeba tak zwanej „prawdy“ i prostoty? Zresztą czyż niema

legend prostszych i prawdziwszych nawet niż romanse Goncourtów?

Sam Goncourt przecież był egzotykiem w swoich upodobaniach: lubił rzeczy niezwykle, niecodzienne, otaczał się niemi, przepadał za wesołą deprawacją i szarlataneryą wieku XVIII i pełnym lubieżnego wdzięku, ale dalekim od prawdy i prostoty stylem „rococo“, oraz szczycił się tem, że wprowadził do Francji i Europy zamięłowanie egzotycznej sztuki japońskiej, w której jest finezyja, dziwaczność, fantazyja, humor, ale także niema prostoty.

Goncourt był egzotykiem wyrafinowanym, a nasz chłop polski jest egzotykiem naiwnym, i, nie znosząc utworów realistycznych, przepada za baśniami, oraz opowiadaniem egzotycznymi i romansami historycznymi, które doktryna realistyczna skazała na śmierć, a które mimo to żyją i żyć będą. A przecież wrażliwość estetyczna chłopu nie jest kłamną wrażliwością wypaszonego mieszczaucha, snoba, filistra! Nie, to uczucie szczere, samorodne, głębokie i godne chyba tego, żeby się z niem liczyć: chłop przecież nie jest niższym od nas typem człowieka. Można zrobić uwagę, że chłop kupuje również bohomyzy częstochowskie i uważa je za arcydzieła. Czy je

uważa za arcydzieła, nie wiem, ale uważa je za świętości i patrzy na nie, nie jako na dzieła sztuki, lecz jako na przedmioty kultu religijnego. Zresztą, nie idzie nam w tej chwili o zmysł plastyczny chłopu, lecz o wrażliwość jego na poezję.

Otóż chłop polski ma poczucie poezji i muzyki i złożył nawet w dziedzinach tych dowody zdolności twórczych. Jeżeli więc idzie o dzieła poetyckie, to niepodobna nie brać w rachubę jego szczerych a silnych sympatii i antypatii estetycznych, zwłaszcza że chłop, pomimo swojej prostoty, nie jest ani prostakiem, ani dzieckiem w ujemnym znaczeniu tego wyrazu. Ma on swoją estetykę, nie sformułowaną ściśle i odmienną od naszej, ale bynajmniej nie gorszą *).

Jest to estetyka jednostronna, nie przeczę, ale która estetyka jednostronna nie jest? Każdy naród, każdy wiek, każda klasa, każdy artysta, a nawet każdy samodzielnie myślący i czujący człowiek ma swoją miarę estetyczną.

Sztuka nie jest nauką i nie dąży do jednolitości, ale przeciwnie różniczuje się coraz bar-

*) Słowacki twierdził nawet, że „fantazyja chłopska powinna być miarą w sztuce.“ (Por. L. Méyet „Łuszczkiewicz o Słowackim“, „Kur. Warsz.“ 1900, Nr 189).

dziei: Ideałem nauki jest prawda niezmienna i niewzruszona; ideałem sztuki jest piękno, które, jak Proteusz, coraz to inną przybiera postać.

* * *

Jeżeli z jednej strony egzotyzm podoba się naiwnym masom, to z drugiej pociąga również jednostki inteligentne, wyrafinowane i subtelne. Obok zacytowanego wyżej Goncourta, mógłbym przytoczyć cały szereg nazwisk współczesnych i dawniejszych artystów, poetów i estetyków, rozmiłowanych w egzotyzmie i legendach: Goethe, Byron, oraz romantycy niemieccy, polscy (Mickiewicz, Słowacki), francuscy, duńscy, rosyjscy—kapali się z rozkoszą w atmosferze legend i egzotyzmu.

A p. Sygietyński mimo to twierdzi, że kto lubi legendy i egzotyzm ten nie wyszedł z epoki „dzieciństwa umysłowego“ i nie jest wyrobiony artystycznie...

Czyżby romantyzm był kierunkiem niższym od realizmu? Tak mówiono przed 20 laty, tak zdaje się mówić p. Sygietyński nie tylko w „Porachunkach“, lecz i w *Drobiazgu* „Kołyska wieczny tułacz“.

Ostatecznie jest to pogląd subiektywny, równie dobry jak każdy inny, byle nie rościł pretensji do godności dogmatu. Dzisiaj, dzięki naukowemu postępowi badań nad psychologią twórczości, estetycy doszli do przekonania, że w dziedzinie sztuki *nie* ma kierunków wyższych i niższych, lepszych i gorszych, na tle każdego bowiem powstawał i mogą powstawać arcydzieła. Podnoszenie jednego wzoru, typu, kierunku estetycznego kosztem pozostałych dowodzi tylko sekciarskiego zaślepienia...

Poniżenie egzotyzmu i legendy równałoby się potępieniu większej części naszych poematów romantycznych, oraz wszystkich powieści historycznych, jako utworów nie opartych na „sumiennej“ i bezpośredniej obserwacji. Jest to konsekwencja nieunikniona, przed którą w swoim czasie nie cofnęli się zwolennicy doktryny realistycznej. Jeżeli się nie mylę, to p. Sygietyński był jednym z koryfeuszów tego chóru i, jak powiada Chmielowski w „Zarysie najnowszej literatury“, „w wymaganiach swoich posuwał się niekiedy do krańcowości“.

A przecież najgenialniejsi z realistów, Balzac i Flaubert, pisali piękne legendy i powieści historyczne („Serafita“, „Legenda o Ś-tym Julianie“, „Salambo“, „Kuszenie Św. Antoniego“, „Herodyada“).

Pociąg do egzotyzmu i fantastyczności jest instynktem, potrzebą, tkwiącą w głębi ducha ludzkiego od wieków i silnie tam zakorzenioną.

Jest to więc potrzeba tak naturalna, jak wiele innych, których nacisk pobudził człowieka do działalności artystycznej, t. j. do stworzenia sobie świata snów, idei, form, marzeń, uchodzących—słusznie, czy niesłusznie, mniejsza o to—za piękniejsze i doskonalsze od rzeczywistości. Egzotyzm więc nie tylko ma rację bytu w sztuce i literaturze, lecz nie jest bynajmniej gorszy od innych czynników i motywów twórczości estetycznej. Spotykamy go we wszystkich epokach i, zarówno u dołu, jak i na samym szczycie drabiny cywilizacyjnej, posiadał on zawsze i posiada dotychczas licznych i zapalonych zwolenników.

* * *

Co się tyczy zwierząt zwrotnikowych w szczególności, to pociągają one wyobraźnię naszą nie tylko swoją niezwykłością, czyli „egzotyzmem“.

Natura, traktująca strefę umiarkowaną po macoszemu, obdarzyła zwierzęta zwrotnikowe wielu właściwościami, które przemawiają bardzo silnie do naszej wrażliwości estetycznej.

Składa się na to przedewszystkiem żywość barw, oraz, że tak powiemy: „dekoracyjność“ kształtów fauny podrównikowej. Nadto, zwie-

rzęta stron tamtejszych żyją na tle bogatej przyrody życiem bujniejszym i pełniejszym od naszych. W ich charakterze, obyczajach, rozmiarach, instynktach, ruchach objawia się olbrzymia doza energii, zarówno fizycznej, jak i psychicznej: są one wielkie, silne, wytrwałe, drapieżne, niebezpieczne dla człowieka, a współcześnie posiadają wśród swego grona typy i gatunki bardzo inteligentne i zdolne do wysokiej, jak na zwierzęta, kultury.

Taki słoń np. kształtem, rozmiarami, potęgą przypomina przedpotopowe potwory: mamuty i mastodonty. Wygląda jak przeżytek epok pierwotnych, a jest przyjacielem człowieka współczesnego. W stanie dzikim bywa groźny; w stanie kultury zmienia się w wiernego sługę, pomaga lu-



Rübezahl

M. Schwind

dziom w ciężkiej pracy, w wólkach, polowaniach, a nawet—w nianczeniu drobnych dzieci.

Czyż niemożna więc twierdzić z całą słuszością, że życie słońa, rozpatrywane ze stanowiska literacko-estetycznego, jest tematem bogatszym w treść od życia większości zwierząt nie tylko naszych, lecz i całego świata?

Niewątpliwie, że gdyby do takiego tematu zabrał się Dygasiński, stworzyłby rzecz nie tylko nie gorszą, ale kto wie czy nie lepszą od Kiplinga, bo włożyłby w nią więcej serca.

* * *

Prócz wymienionych wyżej przyczyn, zwierzęta zwrotnikowe interesują nas dlatego jeszcze, że aczkolwiek nie znamy ich z obserwacji bezpośredniej, znamy je z bajek dzieciennych, dydaktycznych i fantastycznych, w których lwy, tygrysy i słonie od początku cywilizacji odgrywały rolę naczelną, jako naturalna arystokracja świata zwierzęcego, jako symbole siły, potęgi, szlachetności lub okrucieństwa, przekraczającego miarę pospolitą.

Wskutek tego, wyobrażenie lwa, tygrysa i słońa budzi całe szeregi asocjacji, związanych

ze wspomnieniami pierwszych wrażeń estetycznych, wprowadza nas w atmosferę legend i mitów.

Ale, zdaniem p. Sygietyńskiego, legenda—to niższy rodzaj twórczości estetycznej, który tylko wyobraźnię ludzi „niewyrobionych artystycznie“ zadowolić może...

Doprawdy? Czyż „Iliada“, „Odyseja“, „Ramajana“, „Mahabharata“, „Prometeusz“ Eschylosa, „Sakuntala“, „Boska Komedia“ Dantego, „Kain“ Byrona, „Sen nocy letniej“ Szekspira, „Raj utracony“ Milтона, „Król Duch“ Słowackiego, „Dziady“ Mickiewicza—nie są właściwie *legendami*? czyż nie wyrosły na gruncie baśni i mitów, stworzonych przez lud w epoce „dzieciństwa“? A czyż którykolwiek z romansów Zoli, a choćby Goncourtów, może się mierzyć z temi arcydziełami pod względem bogactwa treści?

Czyż „Nana“ albo „Germinia Lacerteux“ zawiera więcej „prawdy“, niż którykolwiek z wymienionych wyżej utworów?

Cóż to za racja, że materiał obserwacyjny romansów realistycznych można skontrolować, a materiału legend i powieści egzotycznych i historycznych skontrolować nie można?

Cóż mnie to obchodzi, jako czytelnika, czy Dante był w „Piekło“ i „Raju“ czy Milton, Byron i Goethe widzieli, czy nie widzieli na własne oczy Dyabła? czy Puk, Tytania, Ariel, Król-Duch, Rama, Kryszna, Polifem, Prometeusz istnieli gdziekolwiek i kiedykolwiek?—kiedy ja, czytając ich dzieje, kreślone piórem geniuszów, muszę wierzyć w egzystencję tych fantastycznych twórców równie silnie, jak w to, że żyję?

Przecież Sienkiewicz nie znał Nerona osobiście, a o Petroniuszu znalazł zaledwie kilka wierszy u Tacyty, a czyż mimo to figury te nie sprawiają na nas wrażenia ludzi żyjących, chociaż nie możemy skontrolować „obserwacji“ autora?

* * *

Nigdy w życiu nie widziałem Skalotoca Palczaka i nigdy go pewno nie zobaczę; nie wiem, czy p. Sygietyński, pisząc ten utwór, robił studia z natury, czy posiłkował się badaniami uczonych; nie wiem, czy ktokolwiek w ogóle mógł „obserwować“ starcie się dwóch małżów we wnętrzu skały; nie wiem, czy przy podobnym starciu jeden skalotocz może przewrócić drugiego na wylot; nie wiem, czy to, co p. Sygietyński napisał, jest prawdą, czy bajką—nie wiem i nie myślę tego sprawdzać, bo cóż mnie to, jako czytelnika, może obchodzić?

Wystarczy mi najzupełniej, jako „czytelnikowi“, że ta legenda—boć w gruncie rzecz nie jest to „realistyczna“ nowela zwierzęca, lecz bardzo piękna legenda, symbolizująca i apoteozująca „organiczną“ pracę u podstaw bytu społecznego—otóż wystarczy mi najzupełniej, że utwór ten sprawia na mnie silne wrażenie estetyczne i moralne, i jestem za to autorowi wdzięczny. To samo możnaby powiedzieć o legendach Kiplinga. Czy nazwiemy je legendami, czy studiami z natury—to ich wartości nie zmienia.

Obserwacja to kwestya prywatna, osobista, artysty i pisarza.

Może i powinna ona obchodzić krytyka, badającego stronę psychiczną procesu twórczości, ale dla czytelnika jest rzeczą obojętną. A należy pamiętać, że jak słońce istnieje nie dla astronomów, lecz dla wszystkich istot łaknących ciepła i światła, tak dzieła sztuki powstają nie dla krytyków i psychologów, lecz dla *wszystkich* ludzi *wrażliwych na piękno...*

DN

IGNACY MATUSZEWSKI

Adam Krechowiecki.

FIAT LUX!

OBRAZ HISTORYCZNY Z CZASÓW JADWIGI I JAGIEŁŁY.

9.)

Dorwał się z posłania i, stary korman na siebie narzuciwszy, wybiegł na podwórzec. Noc była ciemna, ale oko Przecława dostrzegło w mrokach pod górą zamkową, w stro nie baszty narożnej, kilka postaci. Szli zwol na ci ludzie, ostrożnie, jakby na przespīgi, a zdawali się nie zbrojni, i nagle znikli w za roślach. Za moment ozwał się dźwięk lutni i stłumiony śpiew...

Wicher przynosił do uszu Przecława urywane słowa pieśni i tony to groźne, jak by kłatwę rzucające, to znów miękkie i rzewne.

Niebardzo to zdziwowało Przecława, podówczas bowiem włoczyło się po Krakowie mnóstwo śpiewaków i lutnistów wędrownych, szukających za pieśń rycerską lub miłosną pożywienia i chwilowego przytułku.

Zadrzał jednak z przerażenia, gdy ujrzał, że na pieśń ową, jakby na dane hasło, w baszcie narożnej zamku gwałtownie otworzył ktoś okno; w komnacie panował zupełny mrok, światła zgaszono, ale na ciemnym tle tem lepiej zarysowała się biała, smukła po stać niewieścia.

Byłaż to sama królowa, czy też która z panien dworskich? może owa Reginka, czuła na tony lutni?

Postać kilkakrotnie wychylała się z okna, chcąc rozpoznać w ciemności, kto śpiewem maścił nocną ciszę. Ale Przecław rysów po staci dopatrzeć nie mógł; zdawało mu się wszakże, jako to była sama królowa. To zaś wiedział napewno, że pieśniarzem owym nie był Siemko, lecz obcy. Gdy bowiem biała postać niewieścia z okna wychylać się poczęła, tony lutni i pieśni stały się głośniejsze, słowa zaś, wymawiane wyraźnie, były nie mieckie. Opiewały one grozę wojny na Litwie i dzikie obyczaje jej mieszkańców, Saracena mi zwanych, użalały się nad losem nie szczęśnych niewiast, „białych gołąbek,” po rwanym w niewolę przez barbarzyńskich pogan:

„So fñrt man sie gebunden,
Gleich den jagenden Hunden...”

— śpiewał żałośnie wędrowny lutnista.

Zmilkła pieśń, ale okno zamkowe było wciąż otwarte, i biała postać stała w niem ciągle, oparta ramieniem o framugę, zamyślona i smutna.

Wnet znowu ozwały się dźwięki cytary, i zabrzmiała pieśń inna, drżąca oburzeniem, grożąca pomstą niebios za przysiężenie złamane, za niedotrzymanie wiary.

„Honor przepadł,—śpiewał lutnista—stałości serce pękło, coraz gorzej na świecie, bo wierność nogę złamała, prawdę wyrzucono precz, a zdrada pyszni się wspaniałym orszakiem!... Ale przyjdzie na was dzień pomsty, na was, którzy słowo łamiecie... dzień

ten już blizki jest... Piekło wam po śmierci, a hańba za życia!”

Głos pieśniarza coraz potężniał, a na jego słowa:

„Ihr Fürsten da gedencht an...”

postać w oknie stojąca zdawała się chwiać, i nagle ramiona oba w ciemną wyciągnęła przestrzeń, jakby o litość błagać chciała...

Na ten widok Przecław zdzierżyć się nie mogąc, a przeczuwając, jako pieśń owa była hasłem podstępem, zbiegł szybko w stronę, skąd dochodziły dźwięki.

Ale one ścichły nagle, i do uszu Przecława doszły jeno głosy:

— Słyszała... na pewno musiała słyszeć—mówił jeden.

Drugi zaś potakiwał i śmiał się.

— Dobrze jej tak!... Suchenwirt umie surową prawdę nawet królom gadać...

Stary rycerz przyspieszył kroku i chciał im drogę zabiedz, ale owi, posłyszawszy pogoń, nie chcąc snadź poznanymi być, nie oglądając się za siebie, szybko umykać poczęli. Niebawem też znikli z oczu Przecława w wązkich i ciemnych uliczkach.

Nie tak wszakże szybko, iżby on dostrzedz nie mógł jednej zwłaszcza młodzieńczej a dorodnej postaci.

Przystanął zdyszany, młotem zabiło mu serce, oparł się o mur uliczny.

— Bolko!... mój Bolko!...—szeptał sinemi wargami—to on! Do mnie, do rodzica po przebaczenie nie przyszedł, a z tem błędnym rycerstwem się włóczy...

Jęcząc zgnębiony, wracał do swojej chałupy przymurnej, a przechodząc mimo zamku, widział jako w baszcie narożnej, w komnacie królowej, paliło się światło.

Jadwiga słyszała dobrze pieśń i poznała słowa. Była to pieśń Suchenwirta, nadwornego poety wiedeńskiego i dzielnego rycerza, który jej i książęciu Wilhelmowi nieraz na wiedeńskim dworze, czasu długich wieczorów zimowych, prawił poetyczne a grozą przejmujące opowieści o Litwie i jej mieszkańcach Saracenach... Gdy Gniewosz z Dalewic żegnał się z nią, idąc po Wilhelma, aby zniweczyć swadziebne poselstwo litewskie, rzekł jej:

— Po przybyciu, gdybyśmy od razu na zamek dostać się nie mogli, damy ci, królowo, znak wiadomą ci pieśnią...

Otóż był znak! Łudzić się niepodobna. Wilhelm przybył i nadszedł moment stanowczy: albo w niewolę pogańską iść, albo przemocą się wydźwignąć, wbrew woli tych, co ją otaczali. Teraz zrozumiała ona, dlaczego stary wielkorządca Dobiesław z Kurozwęk tak nagle przybył i dlaczego nowe zaciągano warty. Nie chciano mówić jej nic, zbywano jak dziecko, w niewoli dzierżono, ale ona już wie, jako oblubieniec jej, wytworny a miły,

Wilhelm, przybył, pomoc jej da, wytargnie ją stąd i zabierze...

Obudziła śpiącą w przyległej komnacie Reginkę i cała rozplomieniona, z rozpuszczonymi, bujnymi włosami, cudowna w tym zapale, wołała, chodząc żywo po izbie:

— Nie! nie zmuszą mnie! jam przecie królowa!

Reginka, nagle obudzona, przerażona i drżąca, napróżno usiłowała uśmierzyć wzburzenie swej pani. A ponieważ dla niej Nawój wyrocznią był, więc o nim wspomniała, a także o księdzu Wyszu, który, jako człek uczony, najlepiej wie...

— Co mi tam!—gwałtownie przerwała Jadwiga.—Oni mi wszyscy w uszy kładą jako moje ślubowanie Wilhelmowi nie ważne... Ja zaś chcę, aby ważne było... On tu jest, on po mnie przybył, i ja go widzieć muszę... Nie wstrzyma mnie nikt! Jam mu przecież nietylko dzieckiem w Hainburgu ślubowała... I potem jeszcze na budzińskim zamku, gdy rodzic mój umierał.. Staliśmy oboje przy jego łożu... On nas błogosławił i mówił, iż pragnie, abyśmy w małżeństwie przykładnem żyli, i abym ja koronę węgierską w puściźnie wzięła...

Usiadła i rozplomienioną twarz ukryła w dłonie; pierś dławiło łkanie tłumione.

Reginka podbiegła i, przyklękłszy u stóp królowej, całowała jej kolana z wielką czułością.

— Królowo, pani moja!—szeptała z pieszczotą w głosie.—Bóg mocen poratunek dać... Bóg ulituje się!...

A Jadwiga wyciągnęła przed siebie ręce:

— Tak!—rzekła—jeden tylko Bóg... bo ja tu taka sama... tak okropnie sama...

I wysilona uniesieniem, tuliła się drżąca w objęcia Reginki.

— Tyś szczęśliwa,—mówiła po chwili—stokroć nade mnie szczęśliwsza; ty możesz miłować kogo chcesz... możesz czynić wedle woli twojej...

Nie dokończyła. W tym momencie bowiem przypomniało się jej, co powiadał Nawój, i co jeszcze potem wyjaśniła jej z polecenia księdza pani Beska, dodając, jako Reginka przez dziada swego Panu Bogu ofiarowana jest.

Podniosła się nieco, i ogarniając wzrokiem całą jej nadobną postać, jej jasnowłosą główkę i twarz promieniejącą w tej chwili nadzieją szczęścia, uczuła w sercu wielką dla nieświadomego dziewczęcia litość.

— Ona nie wie nic—myślała;—spodziewa się szczęścia, a czeka ją zawód, pragnie życia, a każą jej umierać w klasztornej celi, zaprzeć się tego, czem jej serce teraz żyje...

A razem z myślami temi wnikała do jej duszy ulga, że nie sama cierpieć będzie, że nie sama jest nieszczęśliwą.

Patrzac ciągle na Reginkę, objęła ją teraz z lekka ramieniem i spytała:

— Miłujesz-że ty tego Bolka?—miłujesz bardzo?...

Nagłym ruchem ukryła Reginka zapłonią twarzyczkę w obie dłonie.

— Och, bardzo! bardzo!—szepnęła.

— A gdyby...—mówiła dalej królowa—gdyby między tobą a nim stanęły jakoweś przeszkody?... wyrzekłabyś się go?...

Dziewczę odjęło ręce od twarzy i szeroko otwartymi, zalęknionymi nagle oczyma, spojrzało na Jadwigę.

— Przeszkody?—powtórzyła— a jakieżby?... Przecież ty, Miłościwa Pani, przeciwie się nie będziesz?...

— Ja, nie,—odparła królowa—ale może ten, który do ciebie największe ma prawo... może ksiądz Nawój!...

Reginka klasnęła w dłonie i zaśmiała się wesoło:

— On?... mój umiłowany opiekun! Gdzieżby on mógł przeciwie się, gdybym mu rzekła, że to szczęście moje?... On, który wydobyl mnie z opuszczenia i nędzy cylejskiej, onby miał?... Nie, nigdy!...

Jadwiga powstała i, prostując się, rzekła:

— Wszystko w Bożych rękach... Nie trzeba dowierzać ziemskiemu szczęściu, albowiem nikłe i zawodne jest...

Poważny głos Jadwigi przeniknął lodem serce Reginki. Powstała także, i ciągle bacznie na królowę patrząc, złożyła błagalnie dłonie:

— Co to jest? co to znaczy?—szepnęła.—Wszak Ty, Miłościwa Pani, krzywdy czynić mi nie dozwolisz... nie! nie!

Jadwiga nie odpowiedziała zaraz. Patrzała przed siebie w zadumie, a potem rzekła:

— Chodź do komnaty mojej, Reginko. Będziemy razem modliły się, iżby cudowna Matka Boża mocą swą odegnała od nas nie-szczęście...

Z naciskiem mówiła: „od nas;“ czuła przy sobie teraz równie cierpiącą duszę, i było jej lżej.

Za moment klęczały obie w sypialni królowej, a Jadwiga, wyciągnawszy ramiona ku wizerunkowi Bogarodzicy, przed którym wieczyste płonęło światło oliwne, głosem stłumionym a przejmującym mówiła:

— „Święta Maria, Boża porodicielko, naczystsza dziewczko, przez miłość Syna Twego jedynaczka, Boga naszego Jezu Krysta... przydzi na pomoc nam, a raczy prosić za nami grzesznikami... Bo nasza dusza w udręczeniu położona jest...“

— Och! och!... — z cicha łkała Reginka.

Królowa zaś mówiła dalej:

— „Raczy nas w mękach naszych nawiedzić i nawiedzać, a w imię męki i boleści Synaczka Twego raczy uleczyć boleści nasze i ukrócić męki i raczy nas wrychle wytargnąć z nich...“

Zmilkła królowa, ale długo jeszcze w noc słyhać było jej westchnienia i ciche szlochania Reginki, dręczonej przecuciem złem.

Wreszcie Jadwiga przygarbła płaczące dziewczę ku sobie i teraz ona pocieszała ją, tuląc i pieszcząc.

— Nie płacz... — mówiła—litościwy jest Bóg... Uczynim Mu ofiarę na przebłaganie...

Hafciarzom naszym, Klemensowi i Janowi, każe jutro złoto i srebro prząć na ornat do Wilsnaku, kędy się dzieją cuda Krwi Pana Krystowej...

I tak uspokajając się wzajem, nieco po-krzepione na duchu, usnęły.

Nazajutrz, skoro świt, wszczał się niezwykły w Krakowie ruch. Wieści o przybyciu rakuskiego księcia z orszakem obcych rycerzy, a przytem nagły przyjazd pana krakowskiego, biskupa Radlicy, pana z Goraja, oraz ich drużyn rycerskich, zwiastowały mieszkańcom niezwykle wypadki i obudziły ciekawość. Na rynku i w kwartale grodzkim, kędy, jak powiadano, w domostwie Gniewosza z Dalewic zamieszkał Wilhelm, gromadziły się tłumy. Gospoda Skodziny była cała zapełniona rycerstwem niemieckiem i służbą księcia, on zaś sam od rana z Gniewoszem i Pawłem Gryfitą oraz innymi zaufanymi dworzany, wałną odbywał naradę.

Książe był kontent. Urodziwe jego oblicze promieniało, iskrzyły się oczy, a śmiały się usta.

Siedział w dużej komnacie Gniewoszewego domostwa, rozparty w poręczowym krześle, bardzo strojnie przyodziany, a wokół niego w kornych postawach stali dworzanie. Książe wielką ceremonią otaczać się lubił, a w obecności jego nikt ani usiąść, ani przemówić bez rozkazu nie śmiał.

Opowiedział mu właśnie Paweł Gryfita, jako Jadwiga poznała wieczorem pieśń Suchenwirta i, kilkakrotnie wychylając się z okna, odpowiedziała, iż znak rozumie.

Słuchając, Wilhelm cieszył się i marzył, że niebawem bez trudu, wraz z urodziwą Jadwigą całe to piękne królestwo i przesławną koronę Kazimierzową zagarnie.

— Zazdrościć mi będą braciszkwie mili... — szeptał, myśląc o rodzeństwie swem i ciągłych rodzinnych niesnaskach—będą zazdrościć, gdy mnie ujrzą królem. Nie chcieli uznać mego zwierzchnictwa—dobrze im tak!

Po bladym, ale pięknym i delikatnym obliczu księcia przemknął błysk zawistnej radości.

Wstał i, wypieszczoną dłonią odrzuciwszy w tył bujne kędziory jasnych utrefionych włosów i gładząc szkarłatną aksamitną jakę, w którą był przyodziany, wyprostował się. Spojrzał wyniosłe na otaczających.

— Tak postanowiłem, mości panowie! — rzekł.—Mniemam jako tu żadnych podstępów już nie trzeba... Dziś o południu czynimy uroczysty wjazd na Zamek...

— Może jednak lepiej...—przerwał Gniewosz, który w swej zapalczywości szlacheckiej najczęściej owe obce sobie ceremonie dworskie łamał:—może lepiej byłoby zaczekać jeszcze...

— Na co?—zawołał porywczo Wilhelm—na przyjazd Opolskiego księcia? Nie! On miał jako starosta weselny tu być i przygotować wszystko... A gdy go niema, to snadź rozmyślił się inaczej... Może go tymczasem przyjaciele Jagajły ujęli...

— Stary przechera!—mruknął Gryfita.

Ale Wilhelm, który grubych wyrazów nie lubił, surowym spojrzeniem milczenie mu nakazał.

— Swobodna mu wola!—rzekł.—Ale ja na niego czekać nie będę... Uroczysty wjazd na zamek gotujcie, mości panowie! Królowa

uprzedzona, więc czeka, a przecież mnie, poślubionemu jej małżonkowi, mnie rakuskiemu księciu drzwi nie zaprą!

Na to zaś wystąpił młody rycerzyk, Bolko Wawelski, i oddawszy mu pokłon, prosił, iżby mu wolno było słowo rzec.

Młodzianek ów miał twarz chmurną i zwiędłą, ale oczy piękne, głębokie paliły się gorączkowym ogniem.

— Mów!—rozkazał książe.

— Byłem — rzekł — wczoraj tam, kędy pieśni pod oknem królowej śpiewano... Wiedziałem na oczy własne liczną drużynę pana z Kurozwęk... Zbrojni są, strzegą bram...

— Rozstąpią się przede mną!—przerwał dumnie książe.—Zresztą tak postanowiłem... Wszystko pogotowiu mieć... najwspanialsze ryszunki i rzędy... Zobaczymy, zali kto poważy się opór stawieć?

I zwracając się do Gniewosza, dodał:

— Nie będę się wkradał, jak złoczyńca, ani też najeżdżał przemocą, jak wróg... W biały dzień, wspaniały uczynię wjazd, jako ten, który prawo ma!... Pomnijcie, iżby, gdy wjeżdżać będziemy, we wszystkie uderzono dzwony...

Ręką dawał znak pożegnania. Tedy wychodzili wszyscy, oprócz Suchenwirta i dwóch przybocznych dworzan, którzy pana przyodziewać mieli. Książe zatrzymał jeszcze u progu Gniewosza.

— Strzeżcie pilnie,—rzekł—iżby ci z orszaku mego, którzy stąd są... Polacy... dopóki wszystko się nie skończy, i ja panem zamku nie będę, z nikim z rodziny swej porozumienia nie mieli... Żeby niepotrzebnych gadań lub swarów nie było... Nie wiadomo jeszcze, co nam czynić wypadnie, a o zdradę nie trudno...

— Rozkazałem — odparł Gniewosz — największą przezorność; w biały dzień mają w przyłbicach chadzać, albo siedzieć doma...

— Tego Bolka, — wtrącił książe — który jako błędny rycerz przyplątał się do nas, na oku miejcie... ponury jest... zda mi się niepewny... Wbrew zakazowi pod zamkiem się włóczy. Wczora omal go tam nie ujęto. To źle jest...

— Za niego ręczę—wtrącił pan z Dalewic:—syn to zacnego rycerza, a tak samo jak rodzic zacięty... Nie zdradzi. Ponury jest, bo ubogi, a poróżniony z rodzicem, który go przeklął... po świecie się tułał i biedy najadł do sytu...

— Niechże tedy wybiera między mną a rodzicem... Niech do niego póki czas wraca, abo niech ze mną zostanie wierny, jeżeli nie chce dalej biedy jeść... Tak mu powiedzcie...

Gdy Gniewosz wyszedł, Suchenwirt zbliżył się poufale do księcia, albowiem jemu jednemu, jako piastunowi Wilhelma w niemowlęcych latach, dozwolone to było. I rzekł szeptem, aby słów dosłyszec nie mogli stojący u podwojów dworzanie:

— A jeśli was, książe, nie puszcza na Zamek?...

Żachnął się Wilhelm.

— To niepodobna!—krzyknął.

Pomarszczona twarz starego rycerza-pieśniarza wyrażała w tym momencie niepokój i wzruszenie.

— Bolko ów—rzekł po chwili—powiedział prawdę... Wszystkie wejścia do Zam-

ku obsadzone i... hufy zbrojne wszędy się snują...

— Tem uroczystszy będzie wjazd! — zaśmiał się młodzieńczy książę.

— Ja zaś lękam się, — ciągnął dalej Suchenwirt — iżby nas ten pan z Dalewic na manowce nie zwiódł... Pewny też był i śmiały, gdy ciebie, książę mój, do Krakowa prosił, a teraz radby zwlec... boi się...

— Niech się lęka... ja nie! — zawołał Wilhelm. — I ty nie lękaj się... zobaczysz!... Za niedziel kilka ja, jako pan królestwa tego i małżonek nadobnej królowej, pociągnę ze wspianym orszakiem do Wiednia... pochłubić się koroną i małżonką...

Położył mu rękę na ramieniu i dodał wesoło:

— Nastrój lutnię swoją, cny poeto, iżbyś to wszystko składnie opiewać mógł!...

Rzekłszy to, przywołał czekających na rozkazy dworzan i począł przywdziewać lśniąca zbroję.

A stary pieśniarz, patrząc z rozrzewnieniem na swoje umiłowane książęce pachole, takie piękne, strojne, a ufne, siwą głowę ze smutkiem chwiał...

I raz jeszcze się zbliżył.

— Bądź co bądź jednak, — ozwał się głosem drżącym — przyrzeknijcie mi, mości książę, iż nie dopuscicie do gwałtu, do rozlewu krwi... że nie narazicie własnej osoby...

Wilhelm dobrotliwie spoznał na poruszone rozrzewnieniem oblicze starego piastuna.

— Tyś jest dobry, Suchenwirt, — odparł — bardzo dobry... Ale o mnie troskasz się bez powodu... Przyrzekam ci, że walki nie wywołam i unikać jej będę; pewny zaś jestem, że oni nie będą śmieli bronić mi wstępu...

W niedługi czas potem wjeżdżał na Rynek świetny orszak książęcy. Poprzedzało go czterech pieszych heroldów, w barwach czarnej i złotej, z wielkimi w ręku kopiami, na których ostrzu zatknięte były vexille czyli chorągiewki z wyszytymi na nich herbowymi znakami; za nimi, również pieszo, szli w rozmaite a bardzo jaskrawe przyodzianizaty cytarzyści, lutniści, bębniarze i surmacze, którzy, skoro tylko orszak wtoczył się na Rynek i, rozwinawszy się, okrążał go, wielką wrzawę podnieśli, uderzając w bębny i dmąc w surmy. Za nimi jechał oddział zbrojny: sami najdostojniejsi rycerze w ciężkich a lśniących rynsztunkach, z wysokimi hełmami, na których szczycie chwiały się różnobarwne pióra, najczęściej pawie lub strusie. Wśród tego orszaku, na roslym rnmaku białym, osłonionym fałdzistą a złotem tkaną kapą szkarłatną, czyli kropierzem, jechał sam książę.

Miał na sobie pancerz, z ozdobnych sztucznie wyrabianych blach złotych złożony; pierś okrywała mu trójkątna mała tarcza o czterech polach herbowych i ozdabiał grubymi łańcuch szczeroloty, bogato dyamentami i perłami sadzony, który spływał aż do szerokiego, podobnież drogimi kamieniami wysadzanego pasa. Na głowie dźwigał książę ogromny hełm, także złocisty, okryty z tyłu jedwabnym szkarłatnym pokrowcem, którego długie, kończaste wstęgi na plecach mu spadały. Na hełmie tym widać było koronę złotą największymi ozdobioną brylantami, z której szedł w górę, w półkole rozpięty ogon piór

pawich. W pewnem oddaleniu za księciem postępował liczny orszak zbrojnych i niezbrojnych dworzan. Ale już na nich nie patrzył nikt i nikt się nie dziwował ich pstrokatym strojom lub ciężkim zbrojom czarnym. Niektórzy rycerze ze spuszczonei przyłbicami, z tarczami u boku, kołczanami i łukami, kopiami i mieczami, lub kuszami w ręku i u siodeł, wyglądali tak, jak gdyby na zapasy wojenne lub turnieje szli. Pochód zainykali sokolnicy książęcy w purpurowych jakach, w kapeluszach szerokich na głowach, w obcisłych skórnach złotych, które odwinęte u góry, aż na gołę im zachodziły. Na ramionach nieśli oni wielkie i piękne, na łańcuszkach złotych przytwierdzone ceglaste i popielate, czarnogłowe sokoły, które bez lęku a bystro spoglądały na cisnące się wokół tłumy ciekawych.

Oczy wszystkich biegły ku księciu, który jechał krok za krokiem, cały lśniący w promieniach słonecznych blaskiem złota i brylantów. Biła od niego jasność, a młodzieńcze oblicze, wyglądające z pod hełmu, promieniało radością i nadzieją. Podnosił oczy w górę i patrzył w błękit bez chmurki, przenikły światłem słonecznem, który zdawał mu się zapowiadać równie pogodne i promienne dni całego żywota.

Orszak począł wstępować na wąwelską górę, a Wilhelm zwrócił się ku jadącemu obok Gniewoszowi:

— Dlaczego w dzwony nie biją? — spytał.

Pan z Dalewic z pewnem wahaniem odparł:

— Wydałem rozkazy... Ale biskup Radlica zabronił i przystanych dzwonników rozpedził.

Gładkie czoło księcia zmarszczyło się gniewnie; z oczu strzelił błysk.

Nie rzekł wszakże nic, bo w tymże momencie uderzono w bębny, kotły i surmy, i pochód się zatrzymał nagle, jakby nieprzewidzianą napotkał przeszkodę.

Wilhelm spał konia ostrogą i poskoczył na czoło orszaku.

Przed nim stał kasztelan i wielkorządca krakowski, Dobiesław z Kurozwęk, podskarbi Dymitr z Goraja, Zawisza z Oleśnicy, biskup Radlica w szatach kościelnych, Spytko z Melsztyna, Jasko z Tarnowa i wielu innych co przedniejszych panów. Wszyscy wyszli z zamku pieszo, a byli niezbrojni, jeno po za nimi u głównej bramy widać było liczny i zbrojny orszak.

Sędziwy Dobiesław, zdejmując kołpak z siwowłosej głowy, oddał książęciu pokłon i rzekł z wielkim spokojem:

— Jako stróż tego zamku, cześć oddaję Dostojności Waszej, mości książę...

Głowę podniósł, kołpak nałożył i ciągnął dalej z godnością:

— Odwiedziny Waszej Książęcej Mości czynią najjaśniejszej królowej naszej zaszczyt niemały. Raczy jednak dostojność Wasza spokoju miłościwej Pani dzisiaj nie naruszać...

Oblicze księcia zbladło, wargi zacisnął, moment milczał, a potem głosem stłumionym:

— Mości kasztelanie, — ozwał się — pragnę hołd złożyć powinny pani tego królestwa a mojej poślubionej małżonce... Zali za Jej wolą wstrzymujecie mnie u bram?...

Pan krakowski odparł krótko:

— Tak...

— Chciałbym to z Jej ust własnych usłyszeć! — zawołał porywczo Wilhelm.

A na to wystąpił biskup i głosem, który drżał, ozwał się:

— Na rany Pana Krystowe zaklinam was, mości książę, nie czyńcie gwałtu!... Usłyszycie z ust własnych królowej wolę Jej, nie rychlej wszakże, aż powróci poselstwo nasze z Litwy, od Wielkiego Księcia Jagajły... Tak wymaga cześć tego królestwa...

— A gdybym was nie usłuchał! — gwałtownie przerwał Wilhelm — gdybym się upomniał o prawo moje, które mam?

— Bronić będziemy! — krzyknął pan Spytko.

Ale Dobiesław staro surowo na niego spojrział i odparł z powagą:

— Nie uczynicie tego, mości książę! Nie gwałtem i przemocą dobijać się małżonki dostojnemu rakuskiemu książęciu! Otworzymy ci, miłościwy panie, bramy zamku na ścieżaj i hołd ci pierwsi złożymy, jeżeli po powrocie poselstwa z Litwy, królowa nasza ciebie jako małżonka wybierze...

Teraz zbliżył się Suchenwirt do księcia i cos mu do ucha szeptać począł. Oblicze Wilhelma to bładło, to czerwieniało naprzemian, ale znac było, że się wahał w oporze.

Dymitr z Goraja mówił zaś do Gniewosza z Dalewic:

— Przebóg, coście uczynili! Na wojnę i sromotę wydajecie to królestwo... Przeciw woli naszej, uświęconej uchwałą ostatniego zjazdu, spiski knowacie. A toć jest zdrada, Gniewoszu!

Pan z Dalewic rzucał niepewnym wzrokiem na wsze strony, unikając otwartego spojrzenia. Zafrasowany, nie wiedząc, coby ourzec miał, milczał. A stojący obok Paweł Gryfita wyciągnął swą czarną, spaloną twarz z pod hełmu i krzyknął:

— Wasza zdrada, nie nasza! Na zjazdach postanawiacie bez nas... a za nami prawo!

Spytko już miał gwałtownie odpowiedzieć nienawistnemu sobie Gryficie, gdy wtem Wilhelm, po krótkiej z Suchenwirtem naradzie, mówić począł. Mówił tym razem bardzo spokojnie i w ozdobnych wyrazach:

— Daleką ode mnie jest myśl, — prawił — iżbym niepomny własnej godności i czci należytej najjaśniejszej oblubienicy mojej, chciał siłą wejść do jej komnat zdobywać... Serce serce jej posiąść pragnę... a wasze prawo mojem nabytem prawem pokonać... Powiedzcie tedy Miłościwej Pani mojej, iżem pragnął pokłon jej złożyć, gdy jednak wy, stróże tego zamku, zamieszkania w nim mi bronicie, odjeżdżam bez oporu, w nadziei, że blizki jest czas, w którym wy mnie sami do zamieszkania z poślubioną mi uroczycie królową waszą wezwiecie... Tymczasem, żegnajcie, mości kasztelanie, żegnajcie, mości panowie!

Prawicą dał znak, pochód zawracać się i ruszać począł; on zaś ostrogami konia spał, na czoło orszaku poskoczył i z podniesioną głową jechał zwolna, blade bardzo, ale piękny w swej dumie.

CAPRI



Rys Józef Rapacki



tóż nie słyszał o wyspie Capri, o „fagraglioni,” willi i termach Tyberyusza, a zwłaszcza o grocie błękitnej, dzięki której przedewszystkiem wyspa ta zyskała sobie popularność szeroką i liczne pielgrzymki „forestieri,” przebywających w Neapolu.

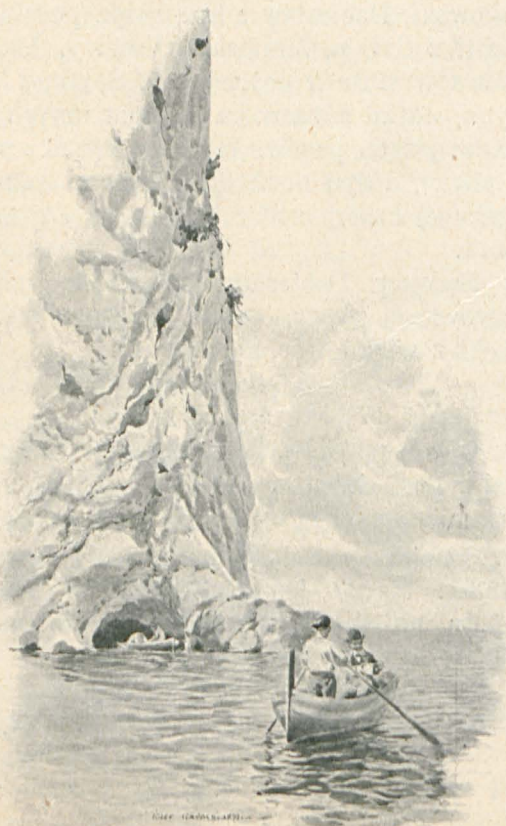
Nabożni rybacy kaprejscy z pewnością, dziękując Madonnie za dary, którymi ich ojczyznę skalistą wyposażyła, za obfitość oliwek i wyborowego wina, za pomarańcze, gruszki i „frutti,” które rodzi morze,—niezawodnie najwdzięczniejsze i najgłębsze modły ślać muszą za ową grocę błogosławioną, do której pielgrzymuje kilkadziesiąt tysięcy ludzi rocznie. Przypadkowy figiel przyrody stał się źródłem nieustającym skromnego dobrobytu dla wyspy.

Każde prawie z miast włoskich posiada jakąś osobliwość, przyciągającą ciekawych i liry. Capri, pomimo przyrody cudnej, klimatu, morza, słońca, miałoby urok dla niewielu tylko, co by go pojąć właściwie mogli, bo na to trzeba mieć upodobania artystyczne i rozmiłowanie się w przyrodzie, grota zaś działa na ciekawość, a ta jest właściwa wszystkim.

Codziennie, z Neapolu, od przystani Castello d'Ovo odbija rankiem statek z tłumem podróżnych na pokładzie, przecina ukośnie modrą toń zatoki, i zatrzymawszy się kilka minut przy Sorrento, podąża ku Capri, a nim wysadzi na ląd podróżnych, okrąża spiętrzone wysoko brzegi wyspy, zmierzając do groty.

Wówczas pokład zaczyna się ożywiać w sposób niezwykle. *Grotta azzurra, grotta azzurra*—te wyrazy coraz częściej i coraz głośniejsz rozlegają

się na pokładzie. Załoga i służba, z właściwą Włochom afektacją i teatralnością, wymawiają je głosem uroczystym i pieszczotliwym, nadając



Grotta Błękitna.

twarży wyraz zachwytu i przejęcia się chwilą. Nawet stary przekupień szyldkretów w welwetowej kurtce i czerwonym fezie, z twarzą zmiętą i jak gdyby sfastrygowaną od zmarszczek, zanużający przez całą drogę pasażerów na pokładzie zalecaniem swego towaru, nawet on składa teraz swoje pudełko, wiedząc, że chwila jego minęła, i odchodzi na tył statku, wykrzykując do drodzy wielkim głosem raz po raz, jak szwajcar hotelowy: „Ecco la grotta, signori!”

Większość podróżnych, zawczasu już przygotowana, przez studyowanie Baedekera, na nazwyczajność oczekiwanych wrażeń, poddaje się całkowicie uroczystemu nastrojowi. Zwłaszcza młode panie i panny są poprostu w gorączce; policzki i uszy ich rumienią się, a oczy błyszczą.

Wyraz hamowanej ciekawości, z dodatkiem wyrazu przelotnego niepokoju, gra na twarzy młodej sąsiadki. Wskoczyła na ławkę parapetu, wychylając się przez zbitą masę głów ludzkich, skupionych przy burcie, bo statek zbliża się już ku olbrzymiej ścianie skalnej, wysterkającej prostopadłym zrębem nad wodą.

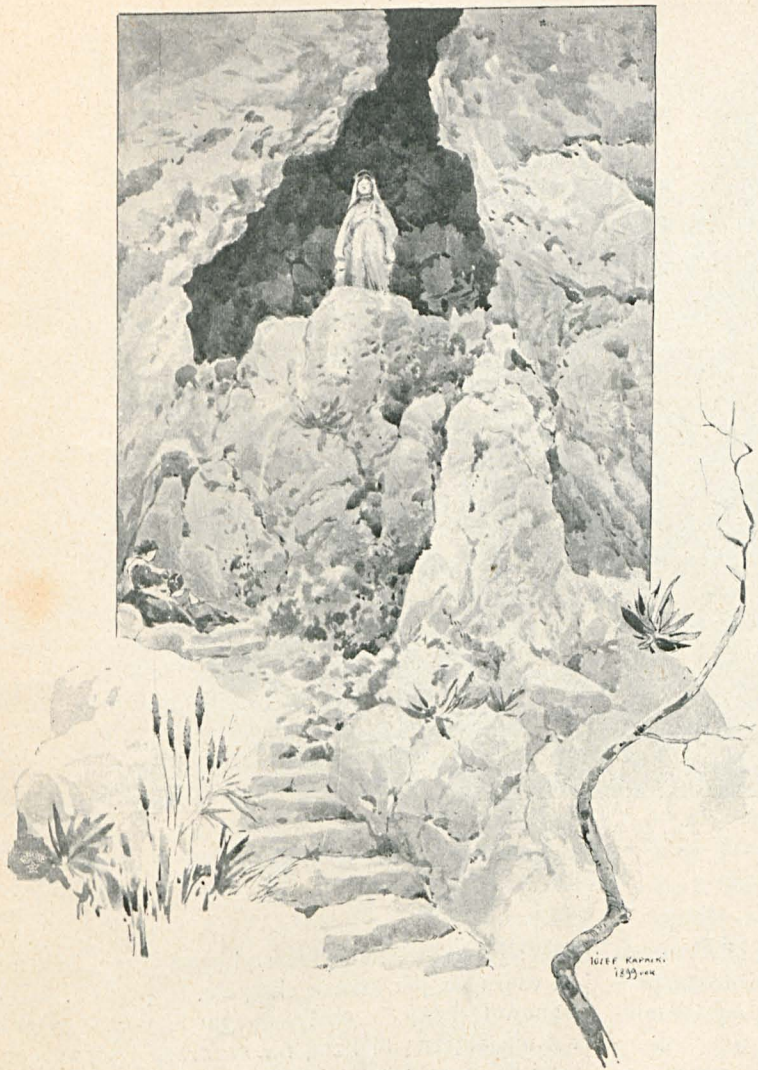
W tym ogromie szaro-żółtej masy kamiennej, kończącej się gdzieś wysoko pod niebem, oko na razie nie może dostrzedz żadnego wejścia, żadnej luki.

— Gdzie tam jest wejście do groty?—zaczyna się niepokoić mój sąsiad.

— Tam, nad samą wodą, ten mały ciemny punkt.

— Co, ta mysia nora?

— Tak, wejście ma metr wysokości i prawie tyleż jest szerokie.



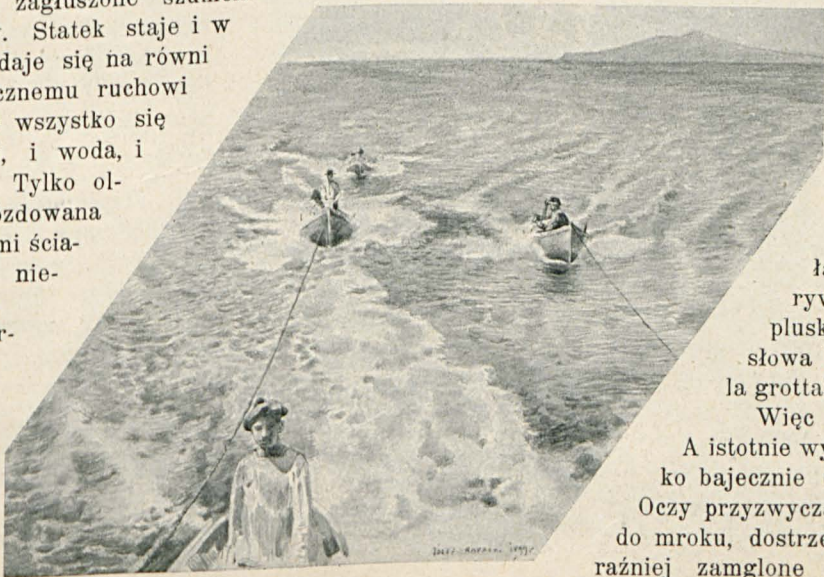
Grota z Matką Boską.

— Ależ to niepodobieństwo, tam się nawet sama łódka bez ludzi nie zmieści!

Istotnie z odległości kilkudziesięciu metrów otwór ten wydaje się dla człowieka również nieodpowiednim, jak ucho igielne dla wielbłąda, ale śruba parowca szybko skraca przestrzeń, a otwór powiększa się, tak, że oko, opanowawszy stosunki wymiarowe przedmiotów, rzekomą norę myślą podnosi do godności bardzo ciasnego, ale ludzkiego wejścia.

Tymczasem ze wszystkich stron dziesiątki maleńkich łódek, białych, zielonych, czerwonych, żółtych otaczają statek, krążą, kołyszą się, wznoszą i osuwają jak łupiny na grzbieciech rozigranych fal. Maszyna statku zwalnia tempo, śruba nie burzy już wody, tylko powolnym obrotem roztacza na powierzchni siatkę perlistej piany. Nieznośne, nużące dygotanie tłoków, przez deski pokładu udzielające się nogom, a przez nogi głowie, w ciągu całej podróży, teraz przycicha, zagłuszone szumem spienionej wody. Statek staje i w tej chwili poddaje się na równi z łódkami tanecznemu ruchowi fal, tak, iż wokół wszystko się kołysze: i łódki, i woda, i statek, i ludzie. Tylko olbrzymia, pobródzowana ciemnemi szparami ściana skalna stoi niezruszona.

Maleńkie barki kolejno podsuwają się do schodów, które spuszczone z boku statku. Ci, którzy chcą być w grocie, muszą parami sia-



Holowanie łodzi.

dać do łódek, bo w tych łupinach zaledwie na dwoje jest miejsca. Mężczyźni schodzą kolejno, podając rękę paniom i pomagając im skoczyć w chwili, gdy pomyślna fala podepchnie barkę aż do stopni, bo morze wyjątkowo jest dzisiaj rozigrane.

Niebawem jasne suknie, kapelusze i parasolki kobiece, niby rzucone w wodę kwiaty, mienia się w blaskach słonecznych na modrej fali. Życie, wesołość, młodość, śmiech i wrzawa, uciekły ze statku, przeniosły się teraz na te kolorowe zabawki pływające. Na pokładzie została tylko załoga i starsi, którym w ostatniej chwili zabrakło ochoty lub odwagi. Z pod płóciennnej markizy, rozpiętej nad pokładem, przypatrują się teraz, jak z tego pływającego statku odrywa się co chwila jedna barka, podpływa w płasach ku skale i niknie w ciemnej gardzieli, która ją polyka żywcem, jak ostrygę.

Z kolei wynurza się nasza barka. Barkajuolo, popychając ją ku grocie lekkim ruchem wiosel w tym samym czasie zwraca się do nas ze słowami, w których dźwięczy i pieczołowitość macie, rzyńska, i stanowczość komendy wojskowej: „Signore musi położyć się na dnie barki, wyciągnąwszy ramię, by signorina mogła wesprzeć głowę, położywszy się obok. Tak, doskonale! Ręk nie trzeba, broń Boże, opierać na krawędzi burty, bo mógłby być wypadek. A teraz naprzód.“ To mówiąc, składa wiosła do łódki, zrywa się na nogi i staje z rozszerzonymi ramionami, podany naprzód, jak zapaśnik.

Pozycja na dnie barki wcale nie jest zła, choć niewiadomo, jak tam zapatrują się na nią z wysokości pokładu. Ale co nas w tej chwili obchodzi pokład, którego zresztą nie widać, bo widać tylko wysoko, wysoko nad głowami jasne słoneczne niebo i różowe lekkie obłoczki, płynące w błękicie.

Nagle obłoczki nikną, słońce gaśnie, robi się ciemno zupełnie, widać tylko rozczapierzone ręce barkajuola, suwające się po niskim sklepieniu, słysząc trzask jeden, drugi, trzeci, plusk fali, barka ze wszystkich stron chroboce o skalę, nagle podskakuje i w

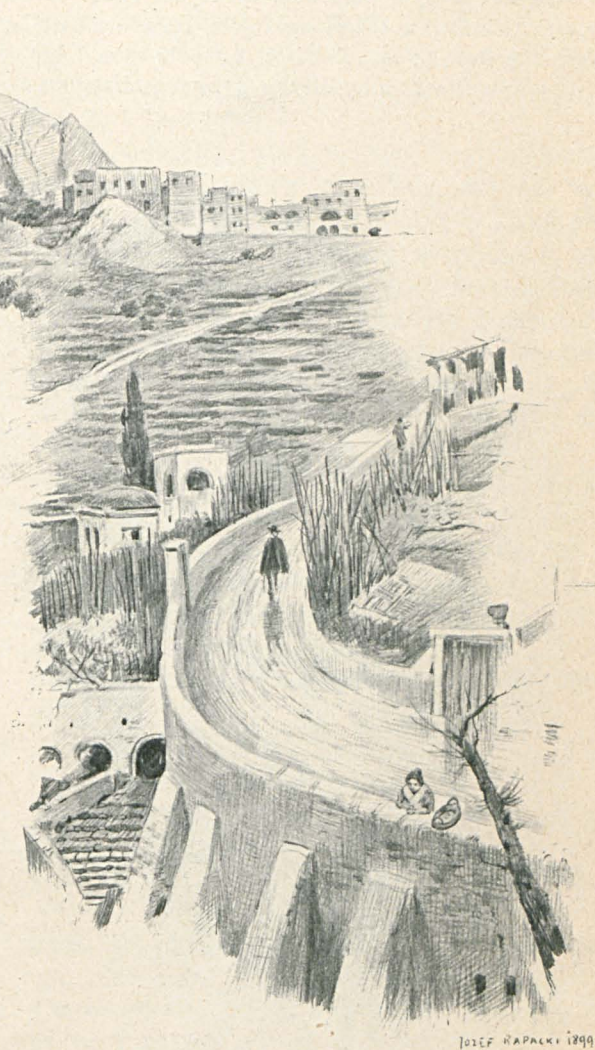
też chwili wpływa we mgłę błękitną, gęstą i mroczną, niby czad węglowy. Teraz już można znów usiąść na ławce. Ciszę przerywa tylko łagodny plusk wiosel i ciche słowa barkajola: „Ecco la grotta!“

Więc to tak wygląda!

A istotnie wygląda to wszystko bajecznie dziwnie i pięknie. Oczy przyzwyczajają się powoli do mroku, dostrzegając coraz wyraźniej zamglone wygięcia ścian, fantastyczne linie sklepień, sine sople stalaktytowe, niby festony z pajęczy-

ny, pozawieszane u stropu. Natomiast dno groty i woda, je wypełniająca, jest tak przepojona przezczystym blaskiem błękitnym, że zdaje się być nie wodą, lecz płynną masą gemmy o barwie splewionych razem turkusów, szafirów i szmaragdów.

I ów stosunek kontrastu światła między powietrzem a wodą w grocie nie zmienia się wcale. Zaledwie widoczne są sylwetki ludzi na łódkach, nikielne zarysy twarzy i rąk, ale wystarcza tylko zanurzyć w wodzie dłoń, by ta zajaśniała całym blaskiem srebra z tak dziwną wyrazistością, że uwidoczniają się na niej wszystkie nierówności



Droga do Ana-Capri.

skóry. Wiosła, dno łódki, aż po linię zanurzenia, również są srebrzyste, złote lub lazurkowe, zależnie od swej barwy lokalnej.

A już te kamienne na dnie groty stają się dla zdziwionego oka najprawdziwszymi turkusami. Cały urok i niezwykłość tego zjawiska polega na tem, że grota oświetlona jest wyłącznie rozproszonym refleksem błękitnym, który przez wąską szczelinę przedostaje się na dno groty. Stąd woda jest tak świetna, a powietrze nad nią mroczne. Oczywiście zjawisko to dzieje się tylko przy pięknej pogodzie słonecznej, gdy i morze, i niebo są błękitne.

Na tej lazurkowej kontemplacji zbiega nam kwadrans czasu. Czas więc wracać. Barka cicho, jak łabędź, okrąża podłużną nawę groty i skierowuje się w stronę różowego pasemka światła, przesiąkającego zzewnątrz przez wygięte gardło wejścia. Znowu trzeba się kłaść na dno łódki, na sen króciutki jak myśl, w którym śni się łoskot i chrobotanie, a przebudzenie pełne jest słońca, blasku i świeżego oddechu morza.

W zamroczone źrenice wlewa się tęczowa wizja barw o takim napięciu świetlnym, które aż odurza zmysł wzroku. Jasna rozkołysana topiel błękitna mży cała od miliardów połysków brylantowego słońca, rozsypanych na niezmierniej przestrzeni morza.

Nawet w przyćmionych odbiciach statku i łódek, woda ma głęboki, przejrzysty ton lapis lazuli, w słońcu zaś mieni się, jak faldy seledyno-

wego pluszu, naszytego srebrem, złotem, perłami i turkusem. Te barwy stają się jeszcze świetniejszymi przez kontrast, gdy oczy podnieść w górę na statek, gdzie pod płóciennym przykryciem pokładu, barwy zdają się być, jakby zgaszone.

Stary handlarz szyldkretów, siedząc na pęku lin u steru, spożywa ser i pomarańcze, obojętnie spoglądając w dół na wodę. Ten nie jest pod urokiem tego przepychu barw, które rodzi słońce w zetknięciu z morzem. Żuje powolnie, a potem zbiera skórki pomarańcz i okruszyny sera i razem z zatłuszczonym papierem spokojnie rzuca do wody. Wandal! z takim spokojem zaśmieca owe bajeczne skarby; ale o dziwo! i skórki sera, i łupiny pomarańcz, i brudny strzęp gazety, padłszy na wo-



Wybrzeże rybackie.

dę, zmienia się, jak w jeziorze czarodziejskim, również na złoto, srebro i diamenty.

O słońce! jakeś potężne i bogate, że nawet brud i śmiecie dotknięciem swoim zamieniasz w szczerze złoto!

Barki kolejno podpływają do schodków, i po chwili statek znów się zupełnie ożywia. Od łódek na tył statku zarzucają długie linki, poczem statek rusza, holując za sobą kilkanaście maleńkich barek, prążących spieniony nurt, jak delfiny. Wspaniały sprawia to widok.

Barki, wachlarzowatym półkolem rozciągnięte na kilkunastu łokciach od statku, nurzają się całe w spienionej topieli. Na tyle każdej stoi wyprostowany jak statua człowiek, podnosząc ciężarem własnym dziób łódki na wysokość swej głowy i dzierżąc mocno linę, niby wodze. Chwilami całkiem zapada się w piany, to znów wynurza się i muska piersią barki wodę, jak rybitwa,

W ten tylko sposób można prowadzić owe „piccoli batelli“ w tak szybkim tempie i po tak wzburzonej fali, bez obawy zatopienia.

Tak wspaniała świta towarzyszy statkowi do końca podróży, na trzykilometrowej przestrzeni morza, aż do Marina Grande, gdzie jest główna przystań.

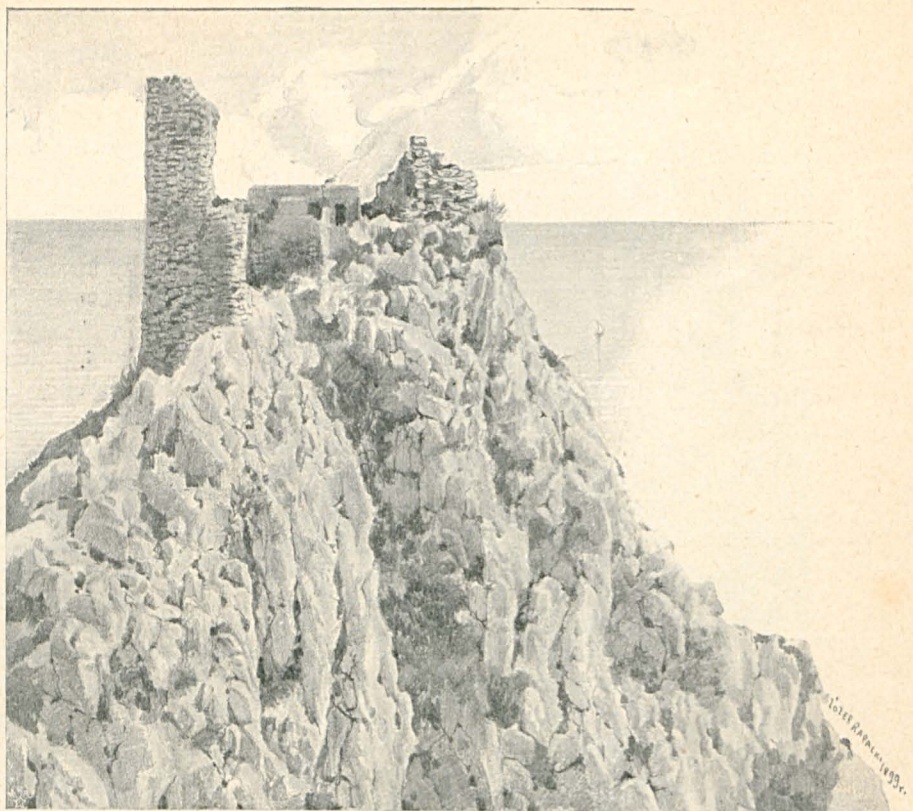
* * *

Capri jest to niewieka wyspa skalista, ze wszech stron wysoko, jak warownia, panująca nad morzem. W dwóch tylko miejscach prostopadłe stoki tarasowymi zrębami zniżają się ku dołowi, zakończone ławą kamienną, płasko schodzącą do morza. Te dwa miejsca, to „Piccola Marina“, na południowym brzegu wyspy i „Marina Grande“ na północnym.

„Marina Grande“ jest zarazem przystanią dla statków i osadą rybacką, a także miejscem, gdzie w wyciągniętej równoległej linii stoją hotele z widokiem rozległym na morze. Tuż u stóp hotelów, wśród pomarańczowych i oliwkowych sadów, biegnie węzowato kuta w skałę droga, prowadząca nad północnym brzegiem wyspy do miasteczka Ana-Capri.

Można tam dostać się powozem, lub ewangelicznie na grzbiecie osła, których całe stadko oczekuje gotowe do usług na miejscu widocznym, w pobliżu hotelów. Lecz zamiast fatygować pocziwego kłapoucha, drzemiącego stojąco ze spuszczoną głową, strojną w czerwone ozdoby uździenicy, lepiej pójść sobie pieszo, spacerem, co daje możliwość swobodnego rozkoszowania się widokiem.

Z jednej strony stare mury i zręby skalne, porośnięte bluszczem, kaktusami i zielskiem, tworzą ścianę, przy której droga wspina się i wiję, jak szara długa wstęga. A z drugiej teren pochyło biegnie ku morzu, przybrany gęstwą winogrodu, oliw i pinii. Tu i owdzie w tych gaszczach



Ruiny zamku Barbarossy.

bieleje wykwintna willa stylowa z grupą śmigłych i czarnych jak krucze skrzydła, cyprysów. Tam znów tuli się do skały uboga lepianka rybacka z nieodłączną bielizną na sznurach i wywróconymi do góry dnem barkami.

A jeszcze niżej bezbrzeżne morze, gładkie, matowe, jednako błękitne, po którym snują się białe żagle rybackie i ciemne wstęgi dymu parowców. W dali, na horyzoncie, szarzeją mgliste pasma lądów: to Ischia, Procida, Bajae i Neapol.

I droga nie jest pusta. W górze, na przełęczy skały, welnista koza ogryza pączki drzewa. Z oddali słychać brzęki dzwonek i po chwili z zakrętu powolnym stępem wysuwa się myszaty muł, ciągnąc w pocie całego ciała ładowną bigę, typowy i wyłączny zaprząg Włoch południowych. Na wierzchu, prawie na grzbiecie muła, siedzi z dzieckiem przy piersi, opalona wieśniaczka w czarnej chuście na głowie. Prawą ręką trzyma kiść mulego ogona, co chwila targając nim w prawo lub lewo, co zastępuje lejce i przynagla bydlę do pośpiechu.

Jeszcze dalej, w pobliżu ścian skalej z białym posągami Madonny wewnątrz groty, stoi samotna para: młody bersaglier w czerwonym fezie i czarnej opończy z jakąś Santuzzą, albo może Lollą, Flirt i na Capri kwitnie równie dobrze, jeżeli nie lepiej, niż gdzie indziej.

Ciepłe słońce, szemrzące morze, kwitnące białe pąki drzew migdałowych, wszystko to namawia do miłości. Nie trzeba w takich razach być natrętnym, obejdźmy więc tą dróżką, po kruszących się schodkach kamiennych, aż do miejsca, skąd widać, jak ruiny starożytnego zamku Barbarossy ustami swoich zwalisk szepeją ciche „memento.“ Pamiątka średniowieczna, którą po sobie na długie wieki pozostawili gnieźdzący się na wyspie piraci.

DN

STEFAN POPOWSKI



Julian Ochorowicz.

Słowianie i Germanie.

Paralela historyczno-psychologiczna.

Dokończenie



Na ten ostatni szczegół nie mamy współczesnego dowodu, ale popierają go ogólne dane antropologiczne, a nadto ten fakt, że południowi Słowianie, zwłaszcza Chorwaci, należą do *najbardziej krótkogłowych* typów.

Zanotowałem te drobiazgi, bo jak zobaczymy następnie *), będą nam one potrzebne do wyjaśnienia genezy typu polskiego. A tymczasem zobaczmy: jak wojują ci Słowianie południowi?

Szyku bojowego Rzymian nie znają. Walczą przeważnie pieszo (przeważnie, a więc byli i konni, gdy tymczasem znajomość konia u Słowian centralnych przed V w. jest wątpliwa).

Walczą *głównie lancami*, bardzo długimi. Niektórzy mają tarcze, w III w. małe (Prokop), w VII tak ciężkie, że je trudno z ziemi podnieść (Mauricius). Zbroi nie znają. Walczą w koszuli, albo nawet bez koszuli, tylko w krótkich spodniach.

Używają też łuków drewnianych, z małymi strzałami, zapuszczanymi bardzo skuteczną trucizną. Są nadzwyczaj zręczni i skłonniejsi do fortelów wojennych, niż do ruszania ławą — czasem jednak znienacka, z wielkim impetem wpadają na nieprzyjaciela. „Niczego zaś tak dobrze nie umieją, jak celnie strzelać, a w każdy zamierzony przedmiot ugodzić, tak, że ich strzał padających nie wytrzymać nie zdoła.“ **)

Ale najlepiej ducha narodu odbijają następujące szczegóły:

O szyk wspólny bynajmniej się nie troszczą, jako też w otwartych miejscach potykać się nie lubią — wolą w lasach, zgodnie z nałogiem dziejowym. „Jeżeli zaś się wydarzy, że sami na nieprzyjaciela wstępnym bojem uderzyć się ośmielą, postępują zwolna, pośród głośnych okrzyków, a *gdy nieprzyjacielem na ich okrzyk odpowiedzą, nacierają z impetem; jeżeli zaś nie odpowiedzą, wracają nazad i już więcej wstępnym bojem sił przeciwnika doświadczają nie chcą, lecz dążą w lasy, które im najlepszą są pomocą, jak tym, co przede wszystkim w gąszczu wojować umieją...* I mają też zwyczaj wypadać często na nieprzyjaciół, czynić niespodziane wycieczki, wojować fortem i we dnie i w nocy różne igraszki stroić... Jakoż nierzadko, udając nagły przestrah, porzucają unoszoną zdobycz, jakby się jej pozbyć chcieli, kryją się śpiesznie w lasy, potem zaś, gdy ścigający ich nieprzyjacielem przy tej porzuconej zdobyczy zabawią się, oni śmiało z lasów wracają i wielką szkodę nieprzyjaciółom czynią.“

„Używają tego fortelu na różne sposoby, mając go za przynętę, na którą nieprzyjaciół łowią.“ (Strgr. XI, 5).

*) Niniejsza praca jest tylko wstępem do obszerniejszego dzieła o specyficznie polskim charakterze narodowym. (P. A.)

**) Cytaty u Szajnochy, IV, 45.

Prokop (VI w.), mówiąc o zręczności Słowian naddunajskich w pochwytywaniu nieprzyjaciół, opowiada co następuje:

„Gdy Rzymianie już długo bronioną przez Gotów stolicę Picenów, Auximum, oblegali, chciał Belizaryusz *) jednego ze znakomitszych nieprzyjaciół żywcem pojmać, aby się od niego przyczyny tej uporczywości dowiedzieć. Na to zapewnił Waleryan Belizaryusza, że łatwiejby tego dokonał, gdyby miał kilku Słowian, którzy umieją bardzo zręcznie kryć się pod niskimi skałami, albo pod krzakami przy drodze, i stamtąd pierwszego lepszego nieprzyjaciela żywcem chwycić, jak to nieraz w swojej ojczyźnie nad Dunajem przeciw innym barbarzyńcom i przeciw Rzymianom czynili. Zaczem wybrał Waleryan, na rozkaz Belizaryusza, jednego z będących w wojsku Słowian, odznaczającego się wzrostem i siłą, i przyrzekając mu wielkie pieniądze od Belizaryusza, zlecił pojmać żywcem jednego z nieprzyjaciół. Słowianin odpowiedział, iż to z łatwością w owem trawą porośłym miejscu uczyni, gdyż spotrzebowawszy wszelką żywność, oddawna już Gotowie trawą się karmią.

„Przed świtem tedy zakradł się pod mury miasta i, skrywszy się tam pod krzakiem, ze ściągniętymi w kłęb członkami, w trawie się zaczął.

„Skoro świt, wyszedł jakiś mąż z miasta i zaczął zioła zbierać, nie obawiając się niczego złego od krzaku, lecz raczej ku nieprzyjacielskiemu obozowi poglądając, aby go stamtąd ktoś przypadkiem nie zaszedł.“

„Aż nagle rzuca się nań z tyłu Słowianin, chwytając go, i mocno obiema rękoma w pól objawszy, do obozu go tak przynosi i Waleryanowi oddaje.“ (Stritt. II, 31).

O dowcipie w sposobie wojowania fortelami raczej niż siłą w otwartym polu, świadczy również cesarz Mauricius:

„Do różnych ich podstępów, mówi on, należy także nurzać się zręcznie w wodzie; dłużej bowiem i bezpieczniej pod wodą trwają; tak, iż będąc znienacka napadnięci, co prędzej w wodę skaczą i, leżąc tam w głębi na wznak, przez pogrążone w wodzie umyślnie na to przyrządzone, długie a wewnątrz zupełnie próżne i z dołu aż do powierzchni wody sięgające trzciny, powietrze z góry w siebie wdychają, i dopóty się kryją, aż wreszcie wszelkie o nich podejrzenie zaginie.

„Jeśli kto przypadkiem wystawione z wody trzciny obaczy, tedy nie znając tego zwyczaju, myśli, że to zwyczajny szuwar. Ci zaś, którzy z położenia i nadejścia trzciny, na rzeczy się poznają, albo te trzciny kryjącym się w wodzie nurkom w usta wbijają,

*) Sławny wódz cesarza Justyniana (w. VI) pochodził z Ilirii, i z tego powodu niektórzy przypuszczają, że sam był Słowianinem: Belizaryusz od Biała Zorza.

lub im ją wydzierają, przez co nurkowie dłużej w wodzie trwać już nie mogą i na wierzch wychodzić muszą.“ (Strgr. XI, 5).

Z powodu tych leśnych i wodnych fortelów, cesarz Mauricius dochodzi do wniosku, że:

„Najlepiej podejmować wyprawę na nich w zimie, kiedy obnażone drzewa bezpiecznego ukrycia nie pozwalają, a śnieg ślady ludzkie zdradza, a przede wszystkim, *ile że u nich wielu niezgodnych jest książąt, należy niektórych bądź namową, bądź darami na swoją przeciwną stronę, aby się wszyscy w nieprzyjacielskim duchu przeciw nam nie złączyli* i pod panowanie jednego nie zebrali...“ *)

Różnice pory roku nie wpływają już dzisiaj na same walki, ale taktyka psychologiczna podtrzymywania plemiennych waśni słowiańskich zachowała swą wartość i jest dzisiaj jeszcze stosowana w Austrii przez Niemców, dzięki głównie starosłowiańskiej dobroduszości i nieopatrzności posłów polskich.

* * *

Tak tedy wyglądali nowo kreowani rycerze słowiańscy w kilku pierwszych wiekach po Chr.

W VII w. robią ważny krok naprzód: zdają egzamin z odebranych dotychczas lekcji. Otrząsają się z długowiekowej bierności, z wysługiwania się wszystkim świętym na prawo i na lewo, i próbują po raz pierwszy zorganizować się w państwo (pierwsze samodzielne słowiańskie Państwo Samona 632—662).

Ale to już należy do historii, której nie mamy zamiaru poruszać.

Kończąc, rzucimy jeszcze okiem na całość zarysowanej paraleli.

Zestawiając odpowiednie dokumenty — bo daj czy nie wszystkie, jakie u kronikarzy znaleźć można, przynajmniej co do Słowian — widzieliśmy z jednej strony plemię wojownicze, żądne zaborów, skłonne do rozłazenia się po świecie, zamiłowane w czystości, karne, przedsiębiorcze, nieskore do znoonej pracy, ale obdarzone zmysłem organizacyjnym i zdolnością abstrakcji, zamiłowane w hierarchii, butne, lekceważące i wprost nieuczciwe względem obcego, niegościnnie, wyrachowane, mało ofiarne materialnie dla celów publicznych, ale mimo to pełne poświęceń rycerskich i myślące o przyszłości.

Z drugiej strony: plemię pokojowe, nie żądne zaborów, wysoce przywiązane do ziemi, szlachetne, nie wchodzące w drogę nikomu, niechłujne, niesforne, niezaradne, zdobywające się na energię tylko pod bezpośrednią grozą niebezpieczeństwa, przyzwyczajone zarów-

*) Strgr. XI, 5. K. Szajnocha, „Dzieła“, t. IV, str. 47.



Ołtarz w kościele Niepokalanego Serca N. Maryi Panny w Marché.

no do ciężkiej pracy, jak i do nadmiernej, często bezmyślnej zabawy, pozbawione zmysłu organizacyjnego, wyrozumiałe i żądające zaufania, kochające równość, zbyt lgnące do wszelkiej cudzoziemszczyzny, przesadnie gościnne, ofiarne, pełne poświęceń i zdolności w różnych kierunkach, ale nie wytrwałe i nie myślące o jutrze—niedojrzałe.

Słowianie mieli liczne wady, ale prze-ważnie takie, które tylko im samym szkodziły. Germanie mieli liczne zalety, ale głównie takie, które się na skórze sąsiadów odbijały. Jeżeli godłem ich była zawsze: „Siła przed prawem”—to godłem pierwszych, niestety, tylko: „Prawo bez siły.”

Gdyby kto w owych zamierzchłych czasach wznosił się balonem nad środkową Europę i spojrzał na te dwie ziemie, które wedle wyrażenia Tacyta „wzajemna trwoga dzieli”—zobaczyłby na lewo kraj lesisty wprawdzie, ale poprzerzynany drogami, którego siedziby gęsto i równomiernie rozrzucone, składają się jednak z pojedynczych chat, większą przestrzenią odgradzonych i zrozumiałby, że ludzie ci, jeśli zbyt serdecznie ku sobie się nie garną, to jednak zachowują czucie jednostki z całością i łatwiej niż inni dojdą do zjednoczenia.

Na wschód zaś zobaczyłby niezliczone kupki chat, rozsypane zrzadka na olbrzymiej przestrzeni. Jeżeli pojedyncze chaty usilnie tulą się do siebie, to natomiast jedną osadę od drugiej oddziela przepaść, przepaść jezior, trzęsawisk i lasów w bezdrożnej okolicy. Załedwie tu i owdzie, rzeka jaka lub mniejsze jezioro zdają się łączyć ludzi. I widząc to, zrozumiałby, że ci mogą się bardzo kochać w rodzinach, ale nie prędko dojdą do zbliżenia się rodów; że odcięci od całego świata,

nieprędko ulegną bodźcom cywilizacyjnym, że bardzo muszą być przywiązani do tych skrawków żyznej ziemi, która im chleb daje, a natomiast dalekie wyprawy, choćby najwięcej obiecujące, nie przemawiają do ich serca. Zrozumiałby, że tu ziemia nie jest szerokim, do sławy wiodącym gościńcem, lecz tylko pocziwą matką-karmicielką, że jeżeli tamte narody Boga swego przenoszą razem z obozem—to te garną się do swojego, który świętych gajów nie opuszcza, ale za to w niebezpieczeństwie będących pod swoje skrzydła przytula.

Tamtych Bóg „zwyciężał z nimi”—tych bierze „pod swą obronę.”

To też, gdy uznojony pracą Słowianin widział skradającego się do bram Rzymu Germanina, nie zazdrościł mu możliwego zwycięstwa; twarde swe ramiona skrzyżował spokojnie na piersiach i tylko dobrodusznym uśmiechem zdawał się przemawiać do wiecznego swego wroga:

— Rozprawcie wy się z sobą... Ja zaczekam.

A ponieważ cierpliwość jego niełatwo się wyczerpuje—czeka jeszcze.

Kościół polski Niepokalanego Serca Najśw. Maryi Panny

w Marché, stanie Arkanzas Ameryki Południowej i jego fundator.

Pomiędzy kapłanami katolickimi, którzy od nas przenoszą się do Ameryki, nie wszyscy, niestety, swemu powołaniu odpowiadają. Dlatego więc ci, którzy zarówno godność swej sukni duchownej i narodowości naszej podtrzymują, na chwalebne wyróżnienie zasługują.

Z dyecezyi płockiej, gorliwym apostołem wśród rozrzuconych polskich kolonii, był ś. p. ks. Mużajewski, ex-Reformat z Płocka, a ostatecznie proboszcz parafii Lubiel w dekanacie Pułtuskim, a młodszy od niego ks. Hipolit Orłowski również jest wytrwałym w winnicy Pańskiej pracownikiem.

Urodzony w 1853 r., po skończeniu nauk szkolnych, wstąpił do seminarium płockiego, a po odbyciu tam nauk duchownych 1878 r. na kapłana wyświęcony został. Następnie był przy kilku proboszczach kolejno wikaryuszem, ostatecznie zaś w Krasnosielcu w dekanacie Makowskim.

Tu w 1893 r. zdecydował się dobrowolnie przenieść do Ameryki za pasportem emigracyjnym, a mając od swej duchownej władzy dobre zaświadczenia, wkrótce został proboszczem w Marché w stanie Arkanzas.

W kilka lat wybudował kościółek pod wezwaniem „Niepokalanego Serca Maryi,” który w dniu 25-m maja 1896 r., przez biskupa tamtejszej dyecezyi Little Rock, Jego Ekscelencyę Fitz Geralda, konsekrowany został.

Snadź przy tej budowie nie-mała była zasługa ks. Orłowskiego, skoro jego biskup wyjednał mu za

to pochwałę od kongregacyi de Propaganda Fide.

Jak widzimy, jest to świątynia drewniana, ale nader udatnie w stylu gotyckim przeprowadzona, a jedną z niemałych trudności w jej zbu-



Ks. Hipolit Orłowski.

jednak jeszcze dokładnie po angielsku nie mówi.

Gdy zdrowie mu tu nie służyło, po licznych prośbach otrzymawszy pozwolenie swego biskupa, ks. H. O. legalnie przeniósł się do Cleveland, gdzie z polecenia miejscowego biskupa, Jego Ekscelencyi Horstmana, organizuje parafię polską pod nazwaniem Św. Jana Kantego. Jednocześnie zaproszony został przez ks. biskupa do dawania lekcji literatury polskiej klerikom Polakom, w miejscowym seminarium się znajdującym.

Tak więc i na tem polu ks. H. O. będzie miał sposobność wielką zasługę dla ziomeków swoich położyć.

Ks. A. BRYKCYŃSKI.



Kościół polski Niepokalanego Serca N. M. P.w Marché.

Artur Gruszecki: Na drugą półkulę.

Sprawozdanie specjalne delegata Tygodnika Ilustrowanego.

17.)

„CABOCLOS.“

Po miastach, stacjach kolejowych, częściej na drogach stepowych i leśnych, spotyka się na mułach, rzadziej na koniach, ludzi, zaciekawiających swym niezwykłym wyglądem.

Muł biegnie w krótkim galopie, strzygąc uszyma, a na nim jeździec, okryty palią w pasy, w kapeluszu wielkim, filcowym, z podniesionem rondem nad czołem, za wsze uzbrojony w długi nóż i pistolety; w ręku bat z surowca z rączką ciężką; siedzi na kulbace, przykrytej skórą z włosiem, a w małych strzemionach bose nogi, rzadziej w patynkach, najrzadziej w butach, ale zawsze z ostrogami, czasem tylko z jedną przytwierdzoną rzemykami do bosej nogi. To *caboclo*, obywatel brazylijski, właściciel zwykle znacznej przestrzeni ziemi, potomek rasy mieszanej europejsko-indyjskiej. Rysy twarzy zazwyczaj ładne, czasem klasyczne; oczy czarne, niespokojne i podejrzliwe; kolor ciała lekko brunatny; smukły, zwinny, trudni się polowaniem, czasem pasterstwem lub zbieraniem herwy matte, a wyjątkowo kobiety uprawiają grządkę kukurydzy i patatów.

— Gospodarzu, a nie zaprowadzilibyście mnie do *cabocla*?

Stary, siwy z pod Tarnowa kolonista spojrział zdziwiony, pokręcił głową:

— I po co panu? Mieszka to w budzie, żyje jak poganin, mówi tylko po brazylijsku,



Dom „cabocla“ (borowego).

przyjmie to herwą, a posadzi to na ziemi, albo kości.

— Jednak...

— Hm... kiedy pan prosi, to cóż robić? pójdę... ale to kawał, aż pod naszą milią... Matka, daj przyrodziewek jaki.

Dowiedziawszy się o co idzie, rzekła:

— Ty ociec siedź w domu. Miguelo krzyw na ciebie za muła, coś zajął z milii. Strzelić u takiego nic... pójdę ja z panem.

Idziemy, gospodyni przez grzeczność puszcza mnie przodem. Otóż i mieszkanie *cabocla*.

— Teraz ja pójdę pierwsza: pana może ustrzelić, a ja znam ich zwyczaje.

Staje dość daleko przed furtką ogrodzenia pierwotnego z poziomo położonych ściętych drzew, wspartych na wiązadłach między drążkami pionowymi, i klaszcze w ręce: jest to sposób anonsowania się, przyjęty w całej Brazylii; bez klaskania nikt nie otworzy domu.

Klaszcze powtórnie.

Chata przede mną zbudowana z nieociosanych, łupanych kolków, wbitych w ziemię, przeplatanych w pośrodku jakąś lianą, bez okien, nakryta palmowymi liśćmi.

Wreszcie uchylają się drzwi, i gospodarz w koszuli i hajdawerach krótkich, brunet z brodą, z pistoletem w ręku, pyta:

— *Quem é?* (kto tam?).

Poznawszy sąsiadkę, mruknął pozwolenie, a ta, nim przeszła furtkę, wytłómaczyła mu cel mego przybycia.

Uśmiechnął się na mój ukłon, schylił głowę, mówiąc łagodnie i z ładnym gestem:

— *Faça favor!* (proszę, dost.: zrób pan łaskę).

Kobieta przez drogę informuje mnie szybko, półgłosem:

— Dadzą panu papierosa, pal pan; każą cykać, cykaj pan.

Wchodzę do pierwszego przedziału, skręcając od drzwi na lewo. Światłatyle, co ze szczelin w ścianach, na których wiszą surowce, uździenice i kulbaka, srebrem suto nabijana.

Gospodarz z uśmiechem przyjaznym prosi mnie siedzieć. Stolek jest czaszką krowy, nakrytą jakąś derą pomiędzy rogami; sam, w pół leżąc, usiadł na ziemi, przysłonięj dziurawą płachtą. ¶

Moja gospodyni poszła w głąb chaty, rodzajem wąskiego kurytarzyka, pod prawą ścianę.

Za nami, za przepierzeniem z kolków w trzech czwartych całej długości chaty, słysząc półgłosne kobiece rozmowy i głosiki dzieci.

— *Amancia!*—zawołał gospodarz.

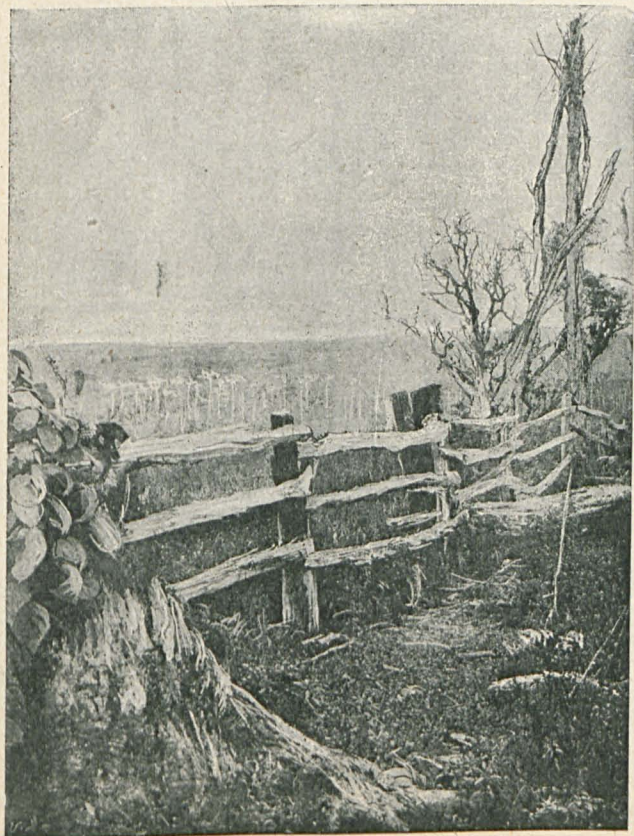
Weszła natychmiast kobieta, już niemłoda, z twarzą pomarszczoną; włosy czarne, ledwie nad czołem przyczesane, w kaftaniku brudnym, w kolorowej spódnicy, i nim wychyliła się z narożnika przepierzenia, spytała chrapliwie:

— *Que?*

Skłoniłem się pani domu, otrzymawszy nawzajem skinienie głową.

— *Charutos...*

I tuż weszła, skręciła papierosa w liść kukurydziany, zapaliła i podała mi z ukłonem, a drugi mężowi.



Z kolonii „Orleans.“



Lucena-Polonia, droga przez kolonię Ś-go Pawła.



Tablica Kordeckiego.

Gościnny gospodarz rozmawia ze mną o koniach, siodłach, mułach i polowaniu.

Moją prośbę, aby pozwolił się odfotografować, przyjął chętnie; poszedł w głąb, po chwili wrócił, a tuż za nim żona, niosąc w ręku dość wielką tykwę, zwaną *cuia*, w której zaparza się herwę, i jedną rurkę z trzciny, opatrzoną sitkiem t. zw. *bomba*, którą pije się matkę.

Usiadła na drugiej czasce, pociągnęła napoju i podała mi z uśmiechem zachęającym. Cykałem, jak mi radziła gospodyni, i z ukłonem podałem gospodarzowi, który to wdzięcznie przyjął. Już trzy razy obeszła *cuia*. Z utęsknieniem czekałem uwolnienia. Spozrzegł gospodarz moją niecierpliwość:

— Zaraz wyjdą *senhoras* (panie); muszą się ubrać.

Wyjaśniłem, że jego wpierw mogę sfotografować.

Poszedł się przebrać w odświętne szaty, w kapeluszu, z fakiem, nawet w patynkach. Już mam fotografować... zapomniał pistoletów... Po chwili przypomniał, że nie trzyma surowca... Nareszcie skończyłem.

Wyszły *senhoras*, ubrane we względnie czyste spódnice; jedna z małym dzieckiem na ręku, przystojna, z ostrym, gniewliwym wyrazem twarzy; druga, ładna brunetka, młoda dziewczyna; trzecia sama pani i czworo dzieci.

Pozwolono mi zwiedzić cały dom. Pierzenie tworzy małą wewnętrzną izbę zasuwana, w niej skóry stanowiące łóżka; druga część tej samej wielkości, jak pierwszy przedział, jest kuchnią, z ogniskiem otoczonym kamieniami, nad niem kociołek, na półkach tykwy przepołowione—to talerze; łyżek nie spostrzegłem.

Wyszliśmy.

— Żona jego wcale niemłoda.

— One, panie, wszystkie takie: aby urodziła trzy, cztery bachory—już po niej, bo to nijakiej wygody ani statku.

— A tamte?

Moja przewodniczka spojrzała mi w oczy,

ścisnęła ramionami, a poprawiając na głowie kraciastą chustkę, rzekła:

— Taki poganiń, czy on ta wie, co córka, co siostra, co obca; żyją z sobą jak psy — kończyła oburzona.

Byłem później u kilku innych *cabocłów*: to samo ubóstwo, brak śladu kultury, naszej etyki, społeczeństwa...

— Czy kradną?

— Coz chać, to nic nie ukradnie — odpowiedziała z uznaniem; — ale co na polu, to po-

dzieli się sprawiedliwie.

Nasze ryciny.

Tablica Kordeckiego. Dnia 20 z. m. w kościele parafialnym w Iwanowicach, w gubernii Kaliskiej, odbyło się odsłonięcie i poświęcenie tablicy, wzniesionej staraniem p. W. Konopki, ku uczczeniu pamięci urodzonego w Iwanowicach obrońcy Jasnej Góry, przeora OO. Paulinów, ks. Augustyna Kordeckiego. Pomimo dnia powszedniego, uroczystość ta ściągnęła liczne zastępy wiernych z pośród mieszkańców osady Iwanowice i przybyłych z okolicy. Po nabożeństwie, odprawionem przez ks. proboszcza Motylewskiego, opadła zasłona, zakrywająca tablicę. Dzieło rąk syna inicjatora, choć skromne, sprawiło miłe wrażenie. Napis na tablicy brzmi: „Pamiętka tymczasowa, poświęcona w r. 1900 ks. Augustynowi Kordeckiemu, sławnemu przeorowi OO. Paulinów, dzielnemu obrońcy Częstochowy od najazdu Szwedów, chlubie narodu polskiego, a w szczególności parafii Iwanowickiej, w której się urodził w Iwanowicach d. 16 listop. 1603 r., zmarłemu w Wieruszowie d. 20 marca 1673 r., pochowanemu w grobach klasztornych na Jasnej Górze; z prośbą o Zdrowaś Marya za Jego duszę.“ W pięknej, głęboko pomyślanej mowie, ks. proboszcz przypomniał obecnym żywot i zasługi syna ubogich mieszczan iwanowickich. Należało się, aby znakomity mąż miał w miejscu swego urodzenia jakiś pomnik, przypominający go ziomkom; zapomniano o tem na czas dłu-

gi. „Znaleźli się jednak obecnie ludzie poczciwi, którzy ten skromny pomnik ofiarowali Jego pamięci.“ Mówca przypuszcza, że kiedyś mieszkańcy Iwanowic i parafii tamecznej zbudują mu pomnik wspanialszy, „nim to jednak nastąpi, niech imię, wyryte na tej tablicy, zachęca wiernych do cnót, jakimi przyświecał ten mąż znakomity.“ Poruszeni wymownymi słowami ks. proboszcza, wierni z uczuciem głębokiej wdzięczności podawali sobie z ust do ust, rozchodząc się do domów, nazwiska tych, którzy zapoczątkowali i ukończyli dzieło uczczenia pamięci największej chwały Iwanowic. O to, gdzie stała kolebka sławnego męża, walczyły z sobą, jak wiadomo, trzy wsie Iwanowice; dopiero odnalezienie przez adwokata Chodyńskiego metryki ks. Kordeckiego w Iwanowicach kaliskich położyło kres wszelkim wątpliwościom. Metryka ta, przechowywująca się dotychczas w księgach parafialnych, brzmi w oryginale: „Ego Urbanus Ossiacoviensis anno quo supra (1603), die vero 16 novembris baptisavi filium honesti Martini Kordecki de Ivanovice atque Dorothes conjugum, cui nomen imposui Clemens.“ (Ja Urban Ossyakowski roku jak wyżej (1603) dnia zaś 16 listopada ochrzciłem syna sławnego Marcina Kordeckiego z Iwanowic oraz Doroty małżonków, któremu nadałem imię Klemens). Imię to bohaterski pogromca Szwedów zwyczajem zakonnym zamienił na Augustyna.

S. Glücklich: Od niego. Jest to obrazek rodzajowy, którego główną zaletę stanowi prostota tematu i wykonania. Młoda dziewczyna otrzymała pęk kwiatów od ukochanego i przygląda im się ze wzruszeniem. Twarzy dziewczyny nie można nazwać piękną, ale rozlana w niej jest jakaś dobroć i serdeczność, to, co Niemcy nazywają „Gemüthlichkeit“, która zresztą wieje z całego obrazu.

Maurycy Schwind: Rübezahl. Schwind należał do romantyków i odtwarzał z wielkim wdziękiem fantazję i legendy ludowe. Rübezahl jest to duch gór i lasów, którym mieszkańcy Czarnego



Kościół w Iwanowicach.

lasu straszą dzieci. Istnieje o nim mnóstwo podań ludowych. Artysta wyobraził tę postać w chwili, kiedy przebiega przez bór, kłapiąc charakterystycznymi sabotami z drzewa. Obraz ten, razem z wielu innymi, znajduje się w słynnej galerii Schacka w Monachium.

Stefan Kinderfreund: Pustelnik. W numerze dzisiejszym podajemy rysunek p. Stefana Kinderfreunda, ilustrujący jedną ze scen „Dziadów” Mickiewicza, mianowicie pierwszą scenę części czwartej. Czytelnicy zapewne sobie przypominają, że rzecz dzieje się w mieszkaniu księdza, wieczorem po wieczery. Przytaczamy odpowiedni ustęp dosłownie.

KSIĄDZ.

Dzieci, wstawajmy od stoła!
Teraz, po powszednim chlebie,
Kłękniście przy mnie dokoła:
Podziękujmy Ojcu w niebie.
Dzień dzisiejszy Kościół święci
Za tych spółchrześcijan dusze,
Którzy z pomiędzy nas wzięci,
Czystowe cierpią katusze...

Za nich ofiarujmy Bogu.
(Rozkłada książkę).

Oto stosowna nauka.
DZIECI (czytają):
„Onego czasu...”

KSIĄDZ.

Kto tam, kto tam stuka?
PUSTELNIK (wchodzi dziwacznie ubrany).

DZIECI.

Jezus, Maryja!

KSIĄDZ.

Któż to jest na progu? (Zmieszany):
Ktoś ty taki? po co? na co?

DZIECI.

Ach trup! trup! upiór ładaco!
W imię Ojca, zgiń! przepadaj!

KSIĄDZ.

Ktoś ty, bracie? Odpowiadaj!



Grupa biskupów i kapłanów chrześcijańskich różnych narodowości, kierujących misjami w Pekinie.

Kronika powszechna.

Ze spraw kościelnych.

Przed trzydziestu blisko laty w Nowym Jorku, bardzo nieliczna wówczas kolonia polska wzniosła własnym kosztem kościółek pod wezwaniem Ś-go Stanisława. Z każdym rokiem liczba przybywających do Nowego Jorku Polaków wzrastała. Pomyślano więc z czasem o budowie drugiej świątyni, którą też niezbyt dawno temu wzniesiono ku czci patrona naszego, Św. Wojciecha. Dziś kolonia polska w Nowym Jorku liczy już przeszło 16,000 dusz. Wśród rodaków naszych wielką cieszy się sympatją i uznaniem ks. Jan Strzelecki, Warszawianin, będący proboszczem przy kościele Św. Stanisława; kościół ten, położony w oddalonej dzielnicy Nowego Jorku, zamieszkaney przeważnie przez Żydów, okazał się za ciasny dla licznie nawiedzających go parafian. Zaczął więc ks. Strzelecki przemyślać o budowie nowej świątyni. Zebrawszy naradę oddanych mu rodaków, razem postanowili zebrać, drogą ofiar dobrowolnych, potrzebny fundusz i przystąpić do budowy. Jakoż rzucony projekt wkrótce przyoblekł się szatą rzeczywistości. Z zebranego funduszu kupiono w innej dzielnicy miasta plac obszerny, a przed kilku tygodniami biskup su-

fragan nowojorski dopełnił ceremonii założenia kamienia węgielnego pod nowobudującą się świątynią. Akt ten odbył się niezmiernie uroczysto przy współudziale całej prawie kolonii polskiej. Na upamiętnienie tej uroczystości doręczono ukochanemu przez rodaków ks. Strzeleckiemu bogaty upominek, ks. biskupowi zaś ofiarowano szczerozłotą kielnię, którą dopełnił on ceremonii założenia kamienia węgielnego pod budującą się w Nowym Jorku trzecią już polską świątynią.

Z prasy polskiej.

Wszystkie pisma codzienne wypełnione były opisami straszliwej katastrofy pod Włochami, w której poniosło szwank tyle osób. *Kurier Warszawski* i *Gazeta Polska* zajmują się kwestją przyczyn, które wywołały katastrofę, i poddają surowej krytyce przypuszczalnych winowajców. — *Niwa Polska*: „Bogactwo Żydów i ich źródło; „Nasze orkiestry” przez J. N. „Rabin Cwirner” (powieść). — *Prawda*: „Uniwersytet krakowski” przez S. Krzemińskiego; „Z przeszłości przedhistorycznej.” — *Encyklopedia Rolniczej* wyszedł zeszyt XCII, zawierający dokończenie artykułu „Serowarstwo.” — *Mucha*: — Nie wiem, w jakim celu Towar-

zystwo wyścigów konnych urządza wystawę koni?— Jakiś ty naiwny! Totalizator, jak każde inne przedsiębiorstwo, wymaga reklamy. — *Kurier Świąteczny* wydał numer ostatni w zmniejszonej szacie i powiększonej objętości. — *Przegląd filozoficzny*: „Energetyka” przez Prof. D-ra H. Struvego, D-ra W. M. Kozłowskiego i D-r J. Kadisową. — *Ekonomista*: „Przełom spekulacyjny w przemyśle.”

Z prasy.

Niwa petersburska zamieściła w N. 24 sympatyczny artykuł o jubileuszu wszechnicy Jagiellońskiej, ilustrowany kilku widokami budowli uniwersyteckich, oraz portretem H. Kołłątaja. — Wytworny miesięcznik *Iskusstwo* umieszcza w czerwcowym numerze reprodukcję obrazu Fr. Żmurki „W haremie,” oraz E. Okunia „Sen Paganiego.”

Zmarli.

Teofila Gadomska, współpracowniczka „Gazety Polskiej” i siostra jej redaktora, Jana Gadomskiego. Padła ofiarą ostatniej katastrofy kolejowej pod Włochami. W „Gazecie Polskiej,” prócz zajęć redakcyjnych i gospodarczych, prowadziła korektę, oraz pisywała notatki i krótkie sprawozdania w dziale literackim. Jako osoba wy-

jatkowo zacna i dobra, cieszyła się szczerą sympatją kolegów, czego do-



Teofila Gadomska.

wodem był jej pogrzeb, na który stawił się prawie cały świat literacko-dziennikarski Warszawy.

Sienkiewicz u obcych.

„Bristol Times” donosi, że Wilson Barrett pracuje nad wykończeniem inscenizacji „Quo vadis” i natychmiast wystawi je w Londynie. Na podstawie zaś zawartej umowy przez Barretta z pp. Greet i Engelbock, równo-

częśnie sztuka ta będzie grana w miastach prowincjonalnych. Trupy teatralne Williamson i Musgrowskie grać ją będą w głównych miastach australijskich, a prócz tego towarzystwa wędrownie, które odegrają kolejno „Quo vadis“ w Kalkucie, Bombaju, Szangaju, Hongkongu, Jokohamie, a po skończeniu wojny, i w południowej Afryce. Na razie Barrett nie mógł określić czasu, kiedy wykończy swą sztukę, a to z powodu trudności, jakie ma, pragnąc usunąć podobieństwo ze swym własnym utworem „Znakiem Krzyża.“ Ponieważ prawo dramatyczne angielskie i amerykańskie zabrania wystawiania sztuki podobnej, albo naśladowanej znany już sceniczny utwór, wersje dramatyczne amerykańskie „Quo vadis“, i w Anglii, i w Ameryce, jako naruszające prawa Sienkiewicza, oraz prawa autora „Znaku Krzyża“, nie mogą być grane bez narażenia się na proces z Barrettem. Przeciw wystawieniu „Quo vadis“ na scenach austriackich i niemieckich zastrzeżenie prawne już zrobiono. — „Cardiff Evening Express“ donosi, że Wilson Barrett otrzymał od Sienkiewicza fotografię z własnoręcznym napisem angielskim, który podajemy w dosłownym przekładzie: „Wilsonowi Barrettowi.—Ci z pomiędzy nas, w których duch Helady potężnej się odzywa, uważają piękno za potrzebę życiową i szukają jej starannie, lecz instynktownie żądają, ażeby Aspazya miała oczy Beatrixy.—H. Sienkiewicz.“

Gimnazjum polskie w Cieszynie.

V sprawozdanie dyrekcji prywatnego gimnazjum polskiego z prawem publiczności w Cieszynie wykazuje stały rozwój szkoły, którą się społeczeństwo nasze tak bardzo interesuje. Kieruje nią niestrudzenie prof. Piotr Parylak, a grono nauczycielskie tworzą razem z nim: d-r Jan Wytrzens, Jan Kukucz, ks. Józef Londzin, Tadeusz Pelczarski, proboszcz ewangelicki ks. d-r Jan Pindór, Franciszek Popiołek, Maryan Wyrwiński, Stanisław Hubert, Michał Janik, Jan Lubaczewski, Antoni Panek i wreszcie nauczyciel śpiewu i muzyki Jan Fober. Liczba uczniów z początkiem roku szkolnego 1899/1900 wynosiła 230, w ciągu roku opuściło zakład 7 uczniów; z końcem roku szkolnego uczęszczało do I klasy 55, II kl. 44, III kl. 55, IV kl. 39, V kl. 30. Z powiatu Bielskiego (Bielsk) pochodziło 30, z Cieszyńskiego 85, Fryszackiego 52, z Galicji 50, ze Szląska pruskiego, Inflant, Austrii Dolnej, Bukowiny, Morawy i Węgier po jednym uczniu. Katolików 181 (w tej liczbie jeden wyznania gr.-kat.), ewangelików 41, izraelita 1. Biblioteka szkolna dla nauczycieli dobiegła już poważnej cyfry 6,980 tomów, biblioteka dla uczniów liczy dzieł polskich 593 tomy, niemieckich 267 tomów; książek szkolnych zaś dla ubogich uczniów 1,756 tomów. Oplata szkolna wynosiła w pierwszym półroczu (83 uczniów) 1,245 zł., w drugim (73) 1,095 zł., razem 2,340 zł. Reszta uczniów była od opłaty szkolnej uwolniona. „Macierz szkolna“ i w tym roku spieszyła w wydatną pomoc ubogim wychowankom zakładu. Sprawozdanie poprzedza bardzo staranny przykład wierszem miarowym

„Ifigenii na Taurydzie“ Goethego, dokonany przez dyr. Piotra Parylaka.

Polityka.

Od kilku dni różni dygnitarze prowincjonalni chińscy ogłaszają stanowcze zapewnienia, że nieprawdą jest, jakoby posłowie państw w Pekinie byli wymordowani. Według tych zapewnień, żyją oni i są zdrowi pod opieką rządu chińskiego. I cesarz Kuang-su odzywa się także; o księciu Tuanie ucichło. Jest to widocznie skutek powodzenia wojsk międzynarodowych, którym udało się wyprzeć Chińczyków z Tientsinu. Do tych sztuczek chińskich nikt nie ma wielkiego zaufania, a przeto sprawa po dawnemu jest ciemną. Cesarz Kuang-su wystosował prośbę do prezydenta Francji o pośrednictwo w celu przywrócenia normalnych stosunków z mocarstwami. Francja odpowiedziała, że kwestya nie może być dyskutowana, dopóki Francja nie posiada pewności co do następujących punktów: 1) Że poseł Pichon wraz z personelem poselstwa doznaje skutecznej opieki rządu chińskiego i ma zabezpieczoną zupełną swobodę komunikowania się ze swoim rządem; 2) że ks. Tuan, oraz wyżsi urzędnicy, którzy mają być odpowiedzialni za teraźniejsze wypadki, zostali usunięci ze składu rządu i ukarani bez zwłoki; 3) że władze i wojska w całym państwie otrzymały rozkaz zaprzestania akcji nieprzyjaznej wzglę-

dem cudzoziemców; 4) że przedsięwzięto surowe środki stłumienia rewolucji bokserów. Dopóki tych niezbędnych rękojmi niema, ze strony mocarstw europejskich nie może być mowy o innej akcji, prócz militarnej. Zdaje się, że dyplomacya chińska zaczyna szukać pośrednictwa także i w Niemczech. Wycho-dząca w Berlinie „Ostasiatische Correspondenz“, która często służy za organ tamtejszemu poselstwu chińskiemu, ogłasza właśnie znamieny artykuł, mający wszelkie cechy komunikatu chińskiego. Czytamy tam, że cesarz niemiecki—to pierwsza instancja, do której Chiny—jeżeli szczerze chcą pośrednictwa—powinny zwrócić się z prośbą, ofiarując mu wszelkie prawa sędziego rozjemczego. Wspomniany organ pisze dalej, że z pewnych oznak wnosi, iż coś podobnego już się stało. Jeżeli zaś w tym akcie mowa jest tylko o morderstwie barona Kettelera, to i stąd wynika, iż inni posłowie żyją. Istnieją wskazówki, że posłowie są raczej trzymeni przez Chińczyków jako zakładnicy, aby ewentualnie, za cenę ich wydania razem z pozostałymi jeszcze przy życiu Europejczykami, wstrzymać pochód wojsk na Pekin. Okoliczność ta—mówi „Ostas. Corr.“—wyjaśnia zagadkę, dlaczego posłowie nie mogą porozumiewać się z rządami, chociaż są zdrowi i cali. Z powyższego wynika, iż domysł,

że posłowie są uwięzieni w Pekinie jako zakładnicy, ma za sobą najwięcej danych, chociaż nie przedstawia być domysłem. Następnie widocznem jest, że książę Tuan robił rewolucję za wiedzą cesarzowej, która schowała się w cień, jako rezerwa.

Kroniczka fotograficzna.

Odbitki na papierach: kolodjonowym, celloidinowym, platynowym i wielu innych, których warstwa nie jest lepka, najlepiej po dokładnym wymyciu w wi-rażu, suszyć, kładąc pomiędzy warstwy czystej, białej bibuły. Po wysuszeniu, obciąć je podług szablonu, zwilżyć, włożyć pomiędzy mokrą bibułę i naklejać krochmalem. Krochmal przygotowuje się podług następującego przepisu: 1,000 cent. sześć. wody czystej i 90 gram czystego ryżowego krochmalu. Krochmal rozrobić częścią wody tak, aby tworzył masę podobną do gęstej śmietany. Woda powinna być zimna. Pozostałą część wody zagotować i wlać do masy. Postawić następnie na słabym ogniu i ogrzewać, mieszając, dopóki nie otrzymamy przezroczystego, gęstego kleju. Dla elastyczności dodać 15 cen. sześć. gliceryny i w celu konserwacji 15—20 sześć. cent. formaliny. Całość wymieszać i przecedzić przez gęsty muslin. Krochmal w zakorkowanym słoiku trzyma się bardzo długo i znakomicie odpowiada zadaniu.

Podawaliśmy przepis wirażu z fiksazem (wiro-fiksaz) do papierów chloro-srebrnych. Jest on przez d-ra Kurza polecany i rzeczywiście bardzo dobry. Poniżej podajemy inną receptę wirażu z fiksazem, prostszą i niemniej dobrą, wymagającą jednak jeszcze staranniej-szego płókania po użyciu: I) 900 cent. sześć. wody dystylowanej; 200 gr. podsiarkonu sodu (Natr. hyposulphurosum); II) 100 gr. wody dystylowanej, 10 gr. octanu ołowiu (plumbum aceticum), III) 20 cent. sześć. płynu chlorku złota (aurum chloratum), rozpuszczonego 1 gr. na 100 gr. wody. Każdą z tych części rozpuścić osobno. Po dokładnem rozpuszczeniu każdej, zlać I i II, pozostawić jakiś czas, żeby się ustała, prze-filtrować i dodać III. Wl. K.

Z muzyki.

W konserwatorium krakowskiem z ukończenia całkowitego kursu otrzymały dyplomy pianistki, p.p.: Zofia Bystrzanowska, Elżbieta Ciechanowska, Zofia Goetze, Stanisława Krzanowska, Zofia Lewicka, Janina Vimpeller, Marya Wędkiewicz i p. Stanisław Lipski.

Humor i satyra.

Dobra rekomendacya.

— Chcecie dostać u mnie miejsce stróża? No, a umiecie spełniać różne roboty domowe? np. nastawiać samowar, rozpalić ogień?

— Rozpalić ogień! Jeszcze jak! Raz spaliłem cały dom.

☆☆☆

Zasady służą wielu ludziom do tego, żeby im oszczędzić roboty myślenia.

☆☆☆

Bądź ostrożny w czynieniu dobro-dziejstw, są bowiem ludzie, którzy się mszczą za otrzymane dobrodziejstwa.

☆☆☆

Z TEKI HUMORYSTYCZNEJ FRANCISZKA KOSTRZEWSKIEGO.



ZWOLENNIK SZTUKI.

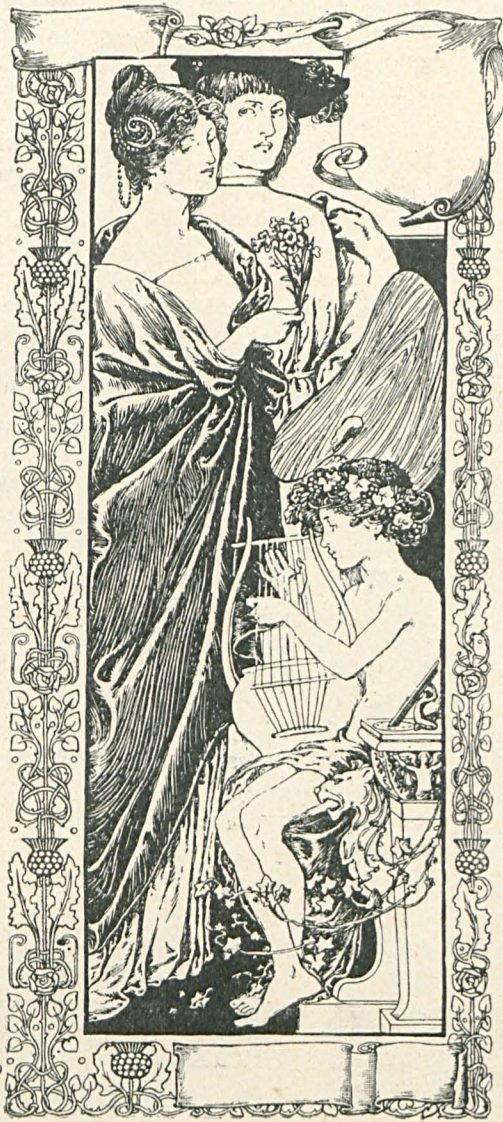
- Al... jesteś!... nie widziałem cię wczoraj cały dzień, coś robił wieczorem?
- Byłem w teatryku i doskonale się bawiłem.
- A co grali?
- Przyznam ci się, że nie uważałem!

NOWE KSIĄŻKI

nadesłane do redakcyi Tygodnika ilustrowanego.

Adam R.: *Syn rzemieślnika*. Szkic powieściowy. Warszawa, 1899.—Gdy przed 30-u mniej więcej laty ogłoszono braterstwo z kielnią, młotkiem i t. p. narzędziami, które miały odbłękitnić szlacheckie przyzwyczajenia i poglądy, wierzono, iż nastąpiła epoka pracy twórczej w duchu społeczno-ekonomicznego odrodzenia i uznania sił pracujących za równouprawnione wobec ideałów poprzednich, byle te siły obok fachowości posiadały równoważny poziom umysłowy. Ale, jak to bywa, szczytne ideały i marzenia teoretyków wcieliły się w inne kształty, niezupełnie dla nas sympatyczne, ale dziejowo konieczne, a tymczasem odrodzenie warstw rzemieślniczych, o które głównie chodziło, poszło swoją drogą, i znowuż tak, jak dziejowa konieczność nakazała. Na takim tle autor osnuł spóźniony nieco swój szkic. „Syn rzemieślnika,” sierota, dzięki stosunkom ojca i pozostałym po nim funduszom, dostaje się na wychowanie szlachecko-urzędniczej rodziny, która daje mu wykształcenie i polor sfery własnej. Pomimo jednak starannej i serdecznej nawet wychowania, wychowawcy ani na chwilę nie zapominają i nawet stale przypominali pupilowi, iż powinien znać przedział, jaki istnieje pomiędzy nimi a nim, „synem tego rzemieślnika.” Taka na pozór niekonsekwencja wypływała z bardzo naturalnej przyczyny: wszak wogóle w życiu w wielu razach kierujemy się nie tyle szczerem i świadomym przekonaniem, ile poczuciem humanistycznym, że jednak tym ludziom coś się od nas należy. Po całym szeregu spostrzeżeń i faktów, „syn rzemieślnika” usunął się od sfery dobrodziejów i wrócił do sfery rzemieślniczej, gdzie z konieczności odrzucił wiele z nabytych przyzwyczajęń, a natomiast wniósł zarzewie samodzielnej pracy nad podniesieniem poziomu umysłowego współkolegów. „...I jakim znów sposobem,—kończy autor — pan majster, oprócz „Kuryera” zaprenumerował „Tygodnik Ilustrowany,” jak i kiedy znalazł czas na przeczytanie tyłu moich książek, w tem sekret.” Uszanujmy więc tę tajemnicę, wierząc, iż w przyszłym opowiadaniu da nam autor obraz życia już kulturalnego rzemieślników; tu nadmieniam, iż dochód z tej książki autor przeznaczył na założenie resursy rzemieślniczej w Warszawie. K. P. Rew.

Anna Neumanowa: *Legendy i baśni Wschodu*.—Książka p. Neumanowej należy do rzędu tych, które bierze się do ręki z zaciekawieniem, ale po przeczytaniu odkłada się na bok z rozczarowaniem. Spodziewamy się znaleźć w niej opowieści pełne fantazyi i uroku subtelnej, obrazy barwne, szerokie, malowane w słońcu jasnym, uczucia bujne, jak wiatr pustyni, wszystko spowite w formę plastyczną, owiane tym specjalnym, nieuchwytnym czarem Południa. W umyśle naszym z pojęciem o legendzie lub baśni wschodniej kojarzy się—koloryt nadzwyczajny, spokój epicki, głębokość myśli ogólnoludzkiej, wreszcie ów mistycyzm specjalny, imponujący swoją potęgą żywiołową. Otóż, żadnej z tych cech nie spotykamy w legendach p. Neumanowej. Na zasadzie motywów, ustępów charakterystycznych, cytat i objaśnień wnosimy, że autorka zna Wschód istotnie. Ale, albo zna go bardzo powierzchownie, przy czem obstawać bynajmniej nie będę, lub też—co najprawdopodobniejsza—nie umie sobie dać rady z materiałem literackim, jaki ma pod ręką. W przekonaniu tem utwierdza mnie i bardzo słaba kompozycja motywów, i sposób jej przeprowadzenia. Ktoś, nie znający wcale Wschodu, z pomysłów p. Neumanowej mógłby zrobić czyste perły literackie. W danym zaś wy-



padku spotykamy się z układem zupełnie chaotycznym, z obrazowaniem bezbarwnym, z psychologią banalną, bez uwzględnienia lokalnych cech temperamentu i natury ludzkiej. Obrazki takie, jak „Na pustyni,” lub „Studnia czarodziejska,” mogą służyć za wzór, jak się utworu literackiego pisać nie powinno, zarówno, jak i opowiadania p. t. „Dwa śluby—dwa światy.” Inne baśni i legendy pozostawiają po sobie wrażenie słabe.

J. Z.

Prace filologiczne, wydawane przez J. Baudouina de Courtenay, J. Karłowicza i A. A. Kryńskiego. Tom V. zeszyt III. — Zeszyt ten kończy tom V, obejmujący tysiąc kilkadziesiąt stron, zawiera zaś prawie 300-stronicową pracę prof. H. Łopacińskiego, niedawno mianowanego członkiem korespondentem Akademii Umiejętności w Krakowie: „Przyczynki do nowego słownika języka polskiego,” dwie rozprawki St. Dobrzyckiego „Z dziejów średniowiecznego piśmiennictwa polskiego,” „Sprawozdania i wiadomości bibliograficzne,” wreszcie wyczerpujące wykazy przedmiotów, wyrazów i nazwisk do całego tomu V. „Przyczynki” H. Łopacińskiego stanowią część II bogatej całości; pierwsza była ogłoszona w t. IV „Prac filologicznych” i odtąd osobnej (1891, str. 107); część niniejsza również wyszła osobno (str. 296). Są to przeważnie wyrazy gwarowe, ułożone alfabetycznie, ze wskazaniem miejsca pochodzenia; zapisywał je sam autor, lub też dostarczyli mu ich inni, szczególnie z okolic Bychawy i Wawolnicy w gub. Lubelskiej. Prócz gwarowych, są tu także wyrazy powszechnie używane, a nie znajdu-

jące się w słownikach Lindego i Wileńskiego, przeszło 500 wyrazów myśliwskich, przeszło 100 górniczych, rybackich, flisackich, bednarskich, garnarskich i t. p. wreszcie przeszło 100 „żakowskich,” używanych przez uczniów w szkołach. Ogół podanych wyrazów wynosi, według przybliżonego rachunku, z górą 6,000 ze 170-u miejscowości. Jest to więc niepospolity przyczynek do inwentarza mowy naszej. D-r Stanisław Dobrzycki mówi o dwóch zabytkach średniowiecznej polszczyzny: o „pieśni polskiej, przypisywanej błogosławionemu Władysławowi z Gielniowa,” a istotnie będącej przeróbką pieśni czeskiej, być może zresztą przez bł. Władysława dokonaną, oraz o fragmencie z „Życia N. Maryi Panny,” z w. XV, powstałym z apokryfu greckiego, przez pośrednictwo łacińskiego, a może i przeróbki czeskiej. Tenże d-r Dobrzycki zdaje sprawę z pracy p. Florińskiego, prof. uniwersytetu kijowskiego, znanego ze swej niedawno wygłoszonej opinii o języku ukraińskim. Praca ta, traktująca o językach słowiańskich północno zachodnich (czeskim, polskim, kaszubskim, łużyckim i połabskim), według przekonywających dowodów recenzenta, wiele pozostawia do życzenia pod względem naukowym i krytycznym. xl.

John Ruskin: *Droga do sztuki*. Przekład St. Koszutskiego. Warszawa. Nakład księgarni M. Borkowskiego.—Nie zawsze można powiedzieć, że lepszy rydz niż nic, bo czasami ów niewłaściwie znaleziony rydz zamiast korzyści przynosi szkodę. A szkodę tylko może przynieść podawanie polskim czytelnikom wybiórków dzieł Ruskina, boć „Drogi do sztuki,” jako mozaikowego zlepkę, wyborym nazwać nie można. Tłómacz ma nadzieję, że w ślad za wspomnieniami pośmiertnymi, rozprawami i artykułami pójdą też i przekłady najznakomitszych dzieł Ruskina. „Zanim to jednak nastąpi,—powiada tłómacz—pozwoliliśmy sobie spolszczyć jeden z najcharakterystyczniejszych zbiorów jego prac, a mianowicie: „Drogę do sztuki.” My zaś pozwolimy sobie zapytać: dlaczego p. Koszutski, zamiast czekać na innych, nie spolszczył sam któregośkolwiek z najznakomitszych dzieł Ruskina? Tajemnica zapewne tkwi w tem, że do tej pory niema żadnego dzieła Ruskina w języku, niemieckim lub francuskim, gdy „Droga do sztuki” istnieje w niemieckim przekładzie. Jedną z plag naszych jest fakt, że z literaturami bardziej egzotycznymi, jak angielska lub skandynawska, zapoznajemy się zawsze z drugiej ręki, i to przeważnie za pośrednictwem Niemców. Co oni przeżują i nam podadzą, tem my się karmimy. W zasadzie uważamy to za rzecz niewłaściwą i naganną. „Droga do sztuki” nie daje właściwego o ideach Ruskina pojęcia, nie jest wcale dla naszej literatury nabytkiem. Jedyną zaletą książki jest staranny i „dobry” język, rażący tylko w przedmowie, gdzie tłómacz mówi o „względach stanowisku angielskiego purytanizmu” (miało być: ciasne stanowisko), o fabrykach „zaciemniających niebo,” i gdzie używa niezgrabnego neologizmu: Ruskinowiec, zamiast Ruskinista. Wszak nie mówi się Wagnerowiec, Darwinowiec, tylko Wagnerzysta, Darwinista, zatem i Ruskinista. W. S.

Antonina Matuszewicz: *Fantazya*. Lwów. 1900.—Komuż z nas nie została przeżyta w młodości „Sturm- und Drang Periode” najgorętszych wspomnień ożywczych, choćby po nich nie pozostało nic więcej nad garstkę drogiej popiołów? Zły to, co prawda, przewodnik ciepła, ale gdy padnie na nie byle iskierka świeżych wrażeń, roz-

nieca je odwiecznym, prastarym „agni,” który jako siła twórcza—tworzyć chce i musi. Indywidualny ten proces duchowy odgaduje, odczuwa czytelnik w „Fantazyi” autorki nawet po za konwensową formą układu literackiego, stylu i języka, nie całkiem jeszcze wyrobionego. Znać wszędzie skrępowanie szkolarskiem poczuciem wzorowania się, i to nie na arcydziełach. Stąd mało oryginalności, stąd jakaś kobieca żenada w szczerem, wyraźnem, jasnem wypowiedzeniu prawdy; stąd ubieranie jej w żurnalowe, często zużyte stroiki i foremki; stąd przystanianie rzeczywistości, jakby nagości, nieprzejrzystym woalem komunałów; stąd wreszcie staranne ukrywanie ran, które, na sobie czy innych, leczć można tylko wtedy, gdy są odkryte. Na 173 stronicach розміściła autorka jedenaście oddzielnych obrazków, luźnie je nanizawszy na wątłą nitkę pajęczą własnego bólu duszy, wyobraźnię żywą, płomienną zastępując rodzajem egzaltacji sentymentalnej jak np. w „Pieczarze Dobosza” i „Hypnozie,” najwięcej może interesującej. Czy to pierwsza próba literacka? Nie wiem. Odpowiedzialność to—zachęcać do dalszych; obowiązek—wyrzec o niej prawdę, oraz poradzić autorce: aby była *sobą*, indywidualną i nie wahała się w formie prostej a szczerzej wypowiadać *prawdy*, która jedynie trafia do duszy i rozumu.

J. B.



Helena Stattlerówna: Początki rachunków w układzie metodycznym. Gebethner i Wolff. 1900.—Ta istotnie metodyczna a spora książka (str. 132) zawiera: część I przygotowaną dla dzieci od lat 8 u, t. j. rachunek pamięciowy do 10-u; część II: cztery działania do 50; część III: do 100; IV: liczby wielorakie, reguła trzech, procenty; Dodatek: wiadomości wstępne z geometrii. Liczne zadania i objaśnienia, zastosowane do pojęcia dzieci, czynią tę książkę nader pożyteczną w nauce początkowej.

Słownik języka polskiego. Niedawno ukazał się zeszyt 7-y wychodzący w Warszawie „Słownika polskiego,” rozpoczynający tom II cennego wydawnictwa i obejmujący wyrazy, zaczynające się od liter H, I i J do wyrazu „Jednoskorupowy.”

Władysław Prokiesz: Wspomnienia mieszczaństwa krakowskiego z lat 1768—1807, wydane nakładem Tow. miłośników historii i zabytków Krakowa.—Interesujący przyczynek do historii mało znanej epoki.

Gabor: Książd Marek. Obrazek dramatyczny w jednej odsłonie z życia francuskiego. Warszawa. 1900.—Dramatyzowana nowela, napisana dość gładko i zręcznie.

Edward A. Martin: Historia kawałka węgla, czem on jest, skąd się wziął, co się z niego robi. Przełożył z angielskiego Jan Lewiński.—Bardzo dobrze napisana i przełożona książeczka popularno-przyrodnicza.

Emde: Symfonia do niej. Poemat.—Zbiór nieszczęśliwych sonetów erotycznych.

Tymoteusz Luniewski: Rolnictwo i hodowla zwierząt u starożytnych Rzymian, z dzieł Katona Cenzora, Pliniusza Starszego, Wirgiliusza Warrona, Palladyusza i Kolumelli.

D-r Eugeniusz Warmiag: Zbiorowiska roślinne.—Dzieło to, poważne treścią i rozmiarem, zawiera zarys ekologicznej geografii roślin i stanowi nabytek cenny dla naszego piśmiennictwa naukowego. Przekładu starannego dokonali pp. Józef Trzebiński i Edward Strumpf.

Ruch etyczny. I. Drobną ta broszurka zawiera w wykładzie zwięzłym zarys rozwoju towarzysztwa kultury etycznej.

W. K. Walter: Karlsbad i jego okolice.—Przewodnik ten ułożony jest bardzo starannie i opatrzone na końcu planem Karlsbadu. Polecamy go uwadze podróżujących na lato do wód zagranicznych.

J. Chociszewski: Krótka historia Polski.—Książeczka liczy 70 stron i dzieli się na kilka części odrębnych. Właściwa polityczna historia Polski obejmuje 46 stron: trudno być bardziej lakonicznym. Jako dodatki spotykamy rozdziały: o sławnych Polakach, o świętych patronach Polski, o uczonych polskich, poetach, malarzach i t. d. Na końcu spotykamy poczet książąt i królów, wreszcie kilkanaście pytań, jako powtórzenie całości. Ze względu na jasność wykładu, jego treściwość i ze względu na cenę (15 kop.), książeczka ta, sądzący, powinna się rozpowszechnić szeroko. Wydała ją księgarnia Bukowskiego.

Wyszedł z druku zeszyt 169-ty *Słownika geograficznego*, rozpoczynający tom XV-ty, poświęcony dopełnieniom do ukończonego już dzieła. Zeszyt ten mieści opracowania na literę A i początek B. Całość suplementu nie przekroczy rozmiarów jednego tomu (12 do 15 zeszytów), ukończoną zaś będzie w przeciągu dwuletnim. Redakcja uprasza współpracowników i czytelników dzieła o nadsyłanie sprostowań i dopełnień, pod adresem księgarni Gebethnera i Wolffa w Warszawie, z dopiskiem: „Dla redakcyi „Słownika geograficznego.”

Pieśni Anakreonta.—Niewielka ta książeczka, wydana w „Księgarni polskiej” we Lwowie, zawiera udatny i staranny przekład tych okruszyn pieśni, jakie czas zachował z twórczości znakomitego liryka Grecyi starożytnej.

Antoni Górski: Warunki gospodarcze dzierżaw angielskich.—Broszurka ta niewątpliwie zwróci na siebie uwagę fachowców-gospodarzy. Pod adresem autora zamieszczamy uwagę, że należy się wystrzeżać takich błędów języka, jak „interesenci.”



Od redakcyi.



Każdy prenumerator „Tygodnika Ilustrowanego” w r. b. 1900 otrzymuje

bez żadnej dopłaty co miesiąc tom

Dzieł H. Sienkiewicza,

czyli rocznie 12 tomów.

Na oprawę 12-tu tomów Sienkiewicza w roku bieżącym dołączać należy rs. 2; w tym stosunku oprawa 6 tomów kosztuje rs. 1, oprawa 3 tomów 50 kop.

Cena ozdobnej okładki na komplet półroczny „Tygodnika Ilustrowanego” rub. 1, przesyłka okładki kop. 35, przesyłka 2 okładek kop. 50. (1 złr. 90 ct., z przesyłką 2 złr. 10 ct.).

Ze względu na wielką liczbę zapotrzebowań na oprawne egzemplarze dzieł Sienkiewicza, prosimy, dla unormowania nakładu, o wczesne nadsyłanie tych zamówień, ażebyśmy odpowiednią liczbę opraw przygotować mogli.



Kwartał I szy Tygodnika ilustrowanego na rok bieżący jest zupełnie wyczerpany. Prenumeratorowie od II kwartału mogą nabywać 3 pierwsze tomy Sienkiewicza z r. b. (t. 13, 14 i 15) za dopłatą rs. 1 kop. 50, lub rs. 2 za też tomy w oprawie.

NADESŁANE.

WYDAWNICTWA

⇒ GEBETHNERA i WOLFFA

POWIEŚCI

WŁADYSŁAWA REYMONTA

- | | |
|--|------------------------|
| FERMENTY. Powieść 2 tomy | 2.— |
| KOMEDYANTKA. Powieść | 1.50 |
| LILI. Żałosna idylla. Z ilustracyami T. Jaroszyńskiego (Biblioteczka ilustrowana) | rub. 1, w oprawie 1.40 |
| SPOTKANIE. Szkice i obrazki: Oko w oko. Franek.—Suka.—Szczęśliwi.—Śmierć. Zawierucha. — Tomek. — Baran. — Z wrażeń włoskich. | 1.50 |
| ZIEMIA OBIECANA. Powieść na tle stosunków łódzkich, 2 tomy. | 2.40 |

Do nabycia we wszystkich księgarniach.

Album Sienkiewicza.

Nakład Gebethnera i Wolffa.

Wydawnictwo jubileuszowe. Główniejsze sceny i postacie z powieści i nowel Henryka Sienkiewicza w 20 ilustracjach, wykonanych w heliograviurach, według rysunków: Brandta, Chelmońskiego, Kamińskiego, Kotarbińskiego, Pochwalńskiego, Rosena, Siemiradzkiego, Stachiewicza i Wodzinowskiego, ze wstępem krytycznym Stanisława hr. Tarnowskiego, oraz wyjątkami z dzieł Henryka Sienkiewicza. Wydanie wytworne na pięknym welinie in 4-to, w ozdobnej oprawie, rub. 8.

KURSY HANDLOWE ROCZNE

S. Rogulskiego

dla kobiet. Warszawa, Krak.-Przedmieście 17.

KURSY HANDLOWE ROCZNE

S. Rogulskiego

dla mężczyzn. Warszawa, Krak.-Przedm. 17.

Herman i Grossman



16 Mazowiecka 16
Skład Fortepianów, Pianin i Organów.
Wynajem. Sprzedaż na raty.
Warszawa, Petersburg, Moskwa, Łódź, Lublin.

Wszyscy lekarze uważają naturalną wodę gorzką

FRANCISZKA JÓZEFA

jako jedyny przyjemny saliniczny środek oczyszczający, który brany w małych dawkach, działa bezwzględnie pewnie, zawsze rozwalniająco. Na 10 wystawach powszechnych złotymi medalami odznaczona. Jest wszędzie.

